Cena 10 zł. (9 zł. + 1 zł. na Dom Słowa Polskiego) 12 stron

KUŹNICA

Rok 2 Łódź, 19 listopada 194[illegible] Nr 45 (63)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Bronić nowej idei, sławić ją, to prawo jedyne naszego bytu. Inaczej ani my, ani Polska nikomu na nic się nie przyda.

Adam Mickiewicz

TREŚĆ NUMERU:

PAWEŁ HERTZ —
DWA SOJUSZE
WŁODZIMIERZ SOKORSKI —
O DEMOKRATYCZNĄ KULTURĘ NARODOWĄ
REZOLUCJA
DEPESZA
EUGENIUSZ AJNENKIEL —
POWITANIE W IMIENIU MIASTA
LEON KRUCZKOWSKI —
ZAGAJENIE OBRAD
JERZY ZAGÓRSKI —
O LEKKOMYŚLNOŚCI
JAN BRZECHWA —
O SYTUACJI ZAWODOWEJ PISARZY
TADEUSZ HOŁUJ —
CYGAN CZYLI ZABIĆ CZŁOWIEKA
MIECZYSŁAW JASTRUN —
BALLADA O PUSZCZY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ
PRZED ODLOTEM
GŁOSY
* * *
JAN ROJEWSKI —
WHO IS WHO?
STEFAN ŻÓŁKIEWSKI —
CIĘŻKA SPRAWA
KANDYD —
TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK
NOTY
RYSUNKI:
PIOTROWSKI, ZARUBA

PAWEŁ HERTZ

DWA SOJUSZE

DRUGI Walny Zjazd Delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich, który toczył swe obrady w Łodzi, zasługuje na szczególną uwagę. Odświętny okres niefrasobliwości ideologicznej, wspólnoty celów, jaki cechował jeszcze w wielkiej mierze Zjazd zeszłoroczny, ustąpił obecnie miejsca ideologicznej walce. Należy mówić o tym bez wstydu, tak jak bez wstydu stwierdza się istnienie w naszym kraju dwuch bloków politycznych. Literatura, jakkolwiek często śpiewa syrenim głosem, jest naprzekór niektórym swoim śpiewakom, wiernym obrazem rzeczywistości. Cóż lepiej i dokładniej niż zjazd pisarzy może zilustrować tę tezę? Niekiedy najbardziej szlachetne w intencjach dzieła literackie sprawdzają po latach bezradność tych intencji, które z winy czy też bez udziału winy pisarza biegły fałszywym tropem. Przemówienia, wygłoszone na II Walnym Zjeździe przez pisarzy, są zapewne mniej ważkie artystycznie od ich dzieł. Mimo to uważny słuchacz mógł z łatwością rozróżnić w tych przemówieniach, kto biegnie tropem fałszywym, a kto stara się kroczyć drogą *rozsądku*.

Artykuł niniejszy nie będzie ani opisem Zjazdu, ani dokładną relacją przemówień. Postaram się po prostu wskazać, posiłkując się jak najobficiej odpowiednimi cytatami, owe fałszywe tropy i prawdziwe drogi, które wyznaczali nam w swoich kolejnych przemówieniach przedstawiciele obu bloków. Jakież to były bloki? Parlament — gdyż zjazd, który zebrał się dla obradowania nad żywotnymi zagadnieniami naszego piśmiennictwa jest parlamentem — był złożony z trzech ugrupowań. Pierwsze ugrupowanie — to blok lewicy intelektualnej, łączący kilku pisarzy organizacyjnie związanych z partiami robotniczymi, PPR i PPS, z liczną grupą pisarzy, nie należących do żadnego ugrupowania politycznego, lecz ideologicznie związanych z obozem laickiego postępu, drugą grupę, prawie równie liczną, stanowili radykalni pisarze katoliccy, pragnący idee postępu realizować innymi metodami, tymi, które zaleca doktryna chrześcijańska. Wreszcie trzecia grupa składała się z pisarzy nastrojonych opozycyjnie wobec obu tych — laickiej i radykalno-katolickiej — propozycji postępu. Pisarzy tych było nie wielu, przemówienia ich, jak się to okaże z dalszych cytatów, odbijały na gruncie literatury ten stan umysłu, jaki jest właściwy wszystkim uwiedzionym fałszywą frazeologią peeselowskiej koncepcji kultury.

Geograficznie trzy te ugrupowania odpowiadają mniej więcej trzem kulturalnym ośrodkom Polski — Łodzi, Krakowowi i Warszawie, jakkolwiek było częstym zjawiskiem, że Łódź odnajdowała sprzymierzeńców i wśród pisarzy krakowskich.

Wydaje mi się rzeczą szczególnej wagi podkreślenie, że wśród kilku referatów ideologicznych, dwa tylko zawierały konkretne sformułowania ideologiczne, dwa tylko proponowały literaturze współżycie ze światem, dwa tylko wskazywały na ten doniosły fakt, że między literaturą i życiem nie ma sprzeczności. Pierwszym z tych referatów był referat Stefana Żółkiewskiego, drugim — i na to zwłaszcza pragnę zwrócić uwagę czytelników — powitanie Zjazdu przez Centralną Komisję Związków Zawodowych. Powitanie to, które w istocie stało się jedną z zasadniczych pozycji zjazdowych wygłosił przedstawiciel KCZZ, Włodzimierz Sokorski. W porównaniu z obronną, płaczliwą i nieufną tonacją przemówień Marii Dąbrowskiej i Jana Nepomucena Millera, tekst przemówienia sekretarza centralnej instytucji związków pracowniczych zasługuje na baczną uwagę. Sokorski, stwierdzając zasadniczą różnicę w stosunku jaki miał świat pracy i ruch zawodowy do kultury narodowej w okresie przedwojennym i tym, jaki ma dziś, gdy stał się gospodarzem kraju, oświadczył między innymi: „Obecnie, gdy społeczna pozycja mas pracujących jest zupełnie inna niż przed wojną, gdy został zrealizowany jednolity front ruchu robotniczego i pracowniczego oraz sojusz robotniczo - chłopski... masy pracujące wyrażają w sposób może najbardziej doskonały nie tylko interesy swojej klasy, lecz interesy narodu, a tym samym są nosicielami nowej kultury narodowej". „W tych warunkach masy pracujące w sojuszu z chłopstwem i znaczną częścią drobnomieszczaństwa — mówił dalej Sokorski — wchłonęły w siebie wszystkie zdobycze kulturalne poprzednich etapów i przekroczyły granice zakreślone terminem kultury proletariackiej". Te zdania, które stwierdzają istotny, rzeczywisty, realny układ sił społecznych w Polsce zamknął w pięknym skrócie Żółkiewski, gdy w swoim przemówieniu, wyliczywszy gatunki fałszywych tropów literatury, postulował obowiązek pisarza: „Najprostszym obowiązkiem pisarza — mówił Żółkiewski nawiązując do zdania św. Augustyna i sprzeciwiając się mu na podstawie sumy doświadczeń naszej wiedzy o człowieku i o otaczającym go świecie — jest iść na rynek. Zrozumieć i odczuć jego zgiełkliwą wymowę". Ten postulat, jak i sens końcowy wypowiedzi Sokorskiego nie uszczuplają jednak w żadnej mierze niezależności pisarza i nie nakładają mu żadnych innych obowiązków, poza obowiązkiem wyboru zgodnej z nowoczesną wiedzą prawdy o świecie i o prawach, które nim rządzą. Ci, którzy słuchając pierwszych słów oświadczenia Sokorskiego, byli pewni, że w słowach następnych przedstawiciel związków pracowniczych, a więc przedstawiciel klasy robotniczej, zażąda od pisarzy porzucenia wszelkich myśli o niezależności i swobodzie artystycznej, zawiedli się srodze. „W kulturze i sztuce — mówił Sokorski — nie można nakazywać, dyktować, narzucać, komenderować. Tam gdzie kończy się subiektywizm twórcy, a pozostaje rzemiosło na zamówienie, tam kończy się każda sztuka i zaczyna się okres dekadencji kulturalnej". Wydaje mi się, że przemówienie Sokorskiego, tak dalekiego od literatury, było jednym z celniejszych przemówień na tym zjeździe. Tam, gdzie Jan Nepomucen Miller wygłaszał zdania, w których domagał się rezygnacji z formalnych osiągnięć literatury współczesnej na rzecz „mamrotu zbiorowego pospólnego pochylenia głowy i wyciągniętych rąk", na rzecz nieporadności i bełkotu, które zdaniem jego, mogą się dziś wobec różnych potrzeb różnych warstw społecznych, okazać niezbędnym „słowem - spoidłem, słowem-zaklęciem", tam przedstawiciel tych właśnie robotników, którym Miller radby podrzucić fałszywe korale regionalizmu — wskazuje inne drogi dla pisarza, niewątpliwie godniejsze przyjęcia: „Twórca musi sam przeżyć zachodzące wokół niego zjawiska. I musi je przeżyć nie tylko rozumowo w sferze dostępnej dla argumentacji, lecz co najważniejsze, musi je przesublimować na swoje nawyki myślowe, emocjonalne odruchy i wizjonerstwo swojej twórczości... Jesteśmy przeciwnikami twórczości propagandowej. Nie chcemy, żeby nas ktokolwiek agitował. Chcemy prawdy... Prawdy nie statycznej, nie oderwanej od nieprzerwanego łańcucha tworzenia".

Tak więc już u schyłku pierwszego dnia zjazdowego stało się rzeczą jasną, że pisarz zawrzeć dziś może jeden z dwuch sojuszów, dwuch jedynie możliwych związków — albo sojusz z postępem, wiedzą, z masami robotniczo - chłopskimi i inteligencją pracującą, albo sojusz ze szczupłą grupką ludzi uparcie przymykających oczy na rzeczywistość, celowo utrzymujących się w negacji i absenteizmie, propagujących artystyczną łatwiznę i ideologiczne mętniactwo. Innych bowiem sojuszów dla pisarza nie ma. Postawa heroicznej samotności jest fikcją. Ta samotność służy złym sprawom. Samotnicy rychło zresztą w dzisiejszej sytuacji okazują się — z ich wiedzą lub mimo niej — wciągnięci w rydwan trywialnych politycznych spraw, które nic wspólnego nie mają z pisarstwem.

Referat Millera, który miał głównie na celu wskazać obecnym na konieczność realizowania kultury ludowej w jej stadium mistycznym, nawoływał nas w gruncie rzeczy do zasklepienia się w sprawach martwych lub martwiejących. Rzecz dziwna, że gdy reprezentanci światopoglądu marksistowskiego postulowali tylko jakość literatury i jej związki z życiem i jego przemianami, Jan Nepomucen Miller narysował nam tabliczkę podziału literatury na proletariacką, ludową, wzorcową i samorodną i tak dalej. Ale cytujmy: „Mimo przewodniczącej i awangardowej roli proletariatu i jego świadomości klasowej w kształtowaniu się nowej kultury, pominięcie czy celowe niedowidzenie wkładu jaki wnieść musi do zbiorowej kultury ludowej narodu wyzwolone z pęt obszarnictwa chłopstwo, jest rezygnacją ze wzroku na rzecz węchu i dotyku. Dlatego wszystkie próby narzucania przez pewne koterie literackie czy artystyczne jakiejś jednej określonej formy sztuki, uznanej za wzorcową wydaje się nam szkodliwe dla całości naszego życia kulturalnego". Ten rzekomo lewicowy frazes kryje w sobie, poza walką z wiatrakami, błąd, który najlepiej piętnuje jedno ze zdań przemówienia Sokorskiego, gdzie mówca stwierdza, że klasy pracujące — robotnicy i chłopi — dziedziczą wraz ze zdobytą władzą pełny dorobek kultury narodowej. Wydzielanie więc odpowiednim grupom ludnościowym „odpowiedniej" sztuki jest właśnie z punktu widzenia ideologii postępowej jawnym nonsensem. To co Miller mówi o koteriach winno właściwie być przemilczane — zarówno w poważnym referacie zjazdowym samego autora, jak i w moim sprawozdaniu. Miller wie bowiem najlepiej, gdzie formują się koterie.

Tak więc pierwszy dzień Zjazdu pozwolił jego uczestnikom na wybór między dwiema koncepcjami, między dwiema propozycjami kultury w Polsce. Jedna z nich, wyrażona obszernie i rzeczowo w przemówieniu Stefana Żółkiewskiego, (którego nie będę tu cytował z uwagi na to, iż pełny tekst przemówienia podany został w nr. 43 „Kuźnicy") oraz w świetnie skonstruowanym przemówieniu Włodzimierza Sokorskiego, gościa Zjazdu, otwiera przed pisarzem perspektywę literatury wspartej o wyniki nowoczesnej wiedzy ludzkiej, w zgodzie z potrzebami społeczeństwa, które żąda literatury pełnowartościowej artystycznie, druga zaś — rzekomo tylko samotnicza, która proponuje mity wolności, a przy bliższym rozpatrzeniu okazuje się wolnością od obowiązku kontynuowania kulturalnej tradycji. Politycznie oba te stanowiska mieszczą się bez reszty w ramach układu sił polskiej rzeczywistości w roku 1946 i niech nikomu z przedstawicieli peeselowskiej ideologii w literaturze bez względu na ich szyld partyjny nie wydaje się, że trzeźwy słuchacz nie rozróżnia tekstu ich przemówień od wstępnych artykułów „Gazety Ludowej".

Toteż drugi dzień Zjazdu stał się dniem zawierania sojuszów przez te ugrupowania pisarzy, którzy w rozgrywce poprzedniego dnia bezpośrednio nie brali udziału. Myślę tu przede wszystkim o licznej grupie radykalnych pisarzy katolickich. Przemówienie jednego z czołowych pisarzy, reprezentujących ideologię reformy metodami katolickimi, Jerzego Zagórskiego, wskazuje dobitnie, że to o czym niejednokrotnie pisano w naszej prasie, stawiając wzór Francji jako przykład — sojusz radykalnych katolików z lewicą — może mieć na odcinku intelektualnym wszelkie szanse powodzenia.

Zabierając głos w dyskusji nad wygłoszonymi poprzedniego dnia referatami Zagórski nader pozytywnie ocenił treść przemówień Stefana Żółkiewskiego i Włodzimierza Sokorskiego. „Dla mnie, jako katolika — mówił Zagórski — zrozumialszy jest marksizm niż liberalizm. W spadku po liberalizmie otrzymujemy problem humanistycznej troski o istnienie gatunku, ale siły te są o tyle ważne, że dziś mechanika zwykłej przewagi nie wystarcza. Jest ona potrzebna do walki z niewątpliwie zarysowującym się silnym nurtem nihilistycznym, który odrasta szczególnie w zachodniej Europie. Do tego jest konieczny konsens tych, którzy będą się zgadzali na wspólne oczyszczenie z elementów lekkomyślnych, bo w sytuacji polskiej nie możemy nadążyć za tymi troskami". Nawiązując do sprawy wyborów Zarządu Głównego, Zagórski domagał się od audytorium by w głosowaniu uwzględnili ten właśnie konsens. Stwierdził, że literaci z Krakowa znaleźli właśnie formę owego konsensu: „Muszę nawiązać do spraw politycznych. Wiosną, w maju, krakowscy koledzy z PPR wspólnie z innymi kolegami wzięli w swoje ręce dramatyczne sprawy, które wymykały się społeczeństwu i prowodyrom politycznym i umieliśmy jako literaci wyżeglować z pewnego dramatycznego momentu. Odbyła się dyskusja o dzisiejszym katolicyzmie. Tam nie głosowaliśmy mechanicznie".

Trzeźwy głos Zagórskiego popierał tezę lewicy, która opowiedziała się wbrew intencjom drobnego ugrupowania warszawskiego za wyborem takiego Głównego Zarządu, który najlepiej potrafiłby wywiązać się ze swoich odpowiedzialnych zadań.

Przemówienie Zagórskiego było w pewnej mierze odpowiedzią na opinię wypowiedzianą przez Marię Dąbrowską, która drugiego dnia obrad pierwsza zabrała głos w dyskusji. Przemówienie Dąbrowskiej, oddawało sprawiedliwość temu, że „wszystkie przemówienia były niezwykle sympatyczne, miłe, uczuciowe, mające w sobie tyle miłości, którą wyraziły dla literatury". Ale Dąbrowska odniosła się mimo wszystko z wielką nieufnością do deklaracji lewicy, oświadczając bez żadnych podstaw: „Miłość społeczeństwa do literatury wyraziła pewne niebezpieczeństwa —

takie, jakie kryją się zawsze w takiej miłości. Miłość bowiem może być tak wymagającą, że może zniszczyć przedmiot miłości tak, iż może on być do niczego'". Replika Dąbrowskiej pełna nieufnej rezerwy i zastrzeżeń nie zawierała w sobie żadnego pozytywnego wskazania, którego być może oczekiwali niektórzy od autorki „Rozdroża". Odpowiadając na przytoczoną przeze mnie wyżej tezę Żółkiewskiego, zawartą w słowach: „Najprostszym obowiązkiem pisarza jest wyjść na rynek", Dąbrowska oświadczyła, że „gdyby kol. Żółkiewski wyszedł na rynek polskiej rzeczywistości, to wróciłby prędko i doszedł do przekonania, że nie kontaktuje z rzeczywistością, albo ogłosiłby we wspaniałym artykule dialektycznym, że znalazł tylko kłamstwo". Wreszcie Dąbrowska, przechodząc do spraw konkretnych, do wyboru władz Związku, stwierdza, że władze te winny mieć siedzibę w Warszawie. Tak więc po przemówieniu Dąbrowskiej i Millera stało się oczywiste, że nieliczna grupa warszawska, reprezentująca opozycyjną w stosunku do większości Zjazdu ideologię peeselowską, nie potrafi dać żadnego konkretnego programu działania, że lęka się wszelkiej planowości w organizowaniu administracyjnych spraw literatury, że wreszcie przez usta swego dzisiejszego sprzymierzeńca w literaturze Jana Niepomucena Millera domaga się rezygnacji z literatury na rzecz roboty oświatowej. Cały ten program negacji był głoszony pod hasłem „apolityczności" i przypominał zachowanie się PSL w sprawach państwowych.

Żółkiewski odpowiadając na przemówienia Dąbrowskiej trafnie zauważył, że apolityczność grupy warszawskiej opozycji jest fałszywa: komentując oklaski, jakie otrzymała Dąbrowska po wypowiedzeniu zdania, w którym stwierdziła, że na rynku polskiej rzeczywistości panuje dziś tylko kłamstwo, Żółkiewski oświadczył: „Widziałem, kto wtedy przyklasnął. Przyklasnęli pani koledzy Kisielewski, Dzikowski, Szczawiej. Z tego faktu już wynika hasło polityczności. Apolityczność dzisiaj jest również hasłem politycznym". Wspominając, że Dąbrowska była pisarką, która w warunkach wzrastającego faszyzmu widziała zbliżającą się katastrofę i starała się ocalić przed nią ziemiaństwo, z którym się solidaryzowała, Żółkiewski oświadczył: „Ziemiaństwo nie posłuchało Dąbrowskiej, przegrało i znikło". „Dziś my, reprezentując ruch robotniczy, chcemy literatury równie politycznej, któraby wskazywała błędy i potknięcia na drodze". Żółkiewski protestuje gwałtownie przeciwko jakimkolwiek insynuacjom na temat rzekomego krępowania pisarzy i domaga się wyboru takiego Zarządu, który zagwarantuje najlepiej interesy moralne i materialne pisarzy i będzie „rozumieć sprawy literatury, nie stosując form przymusu, które u nas nie istnieją, żeby mógł tę literaturę związać jaknajbardziej z życiem i rzeczywistością".

Widomym wynikiem dwudniowych dyskusji były wybory Zarządu, który ukonstytuował się na zasadzie porozumienia między lewicą i ogromną większością pisarzy katolickich radykalnych. Należy dodać, że grupa łódzka w całości i mniejszość krakowska wysunęły i podtrzymywały kandydaturę dotychczasowego prezesa Związku, Jarosława Iwaszkiewicza.

Oto mniej więcej obraz Zjazdu. Nietrudno wywnioskować z tych skromnych danych, jak przedstawiał się układ sił pod koniec drugiego dnia obrad. Centrowa grupa radykalnych katolików mając do wyboru dwa sojusze, z fałszywymi liberałami bez żadnego programu i z lewicą, wybrała ten ostatni. Jest to rzeczą zupełnie oczywistą, że trzeba było mieć wiele złej woli i z góry wrogo ustosunkować się do zdań wypowiedzianych przez swoich przeciwników, by odnaleźć w przemówieniu Żółkiewskiego i w postulatach Sokorskiego jakiekolwiek ślady zamachu na swobodę pisarzy i literatury. Lecz tak właśnie potraktowali te oba przemówienia, które miały na celu rozróżnienie dwuch tradycyjnych stanowisk w sprawach moralności i wiedzy o człowieku i wynikających stąd tez dla literatury, przedstawiciele warszawskiej opozycji.

Reasumując, należy stwierdzić, iż główną zasługą tego Zjazdu jest przede wszystkim niewątpliwe zbliżenie dzisiejszych intelektualistami radykalno-katolickimi i ośrodkiem intelektualnej lewicy. Trudno dziś oczywiście przewidzieć, czy uda się obu stronom dojść do tak szczęśliwych form współpracy intelektualnej, jak się to dzieje na przykład we Francji z niewątpliwą korzyścią dla obu stron. Wypowiedź Jerzego Zagórskiego służyć by mogła jako jedna z przesłanek takiego wniosku, który dziś jeszcze może za wcześnie byłoby wyciągać, lecz który jutro już może okazać się całkowicie oczywisty.

Paweł Hertz

Przemówienia na II Walnym Zjeździe Delegatów ZZLP

WŁODZIMIERZ SOKORSKI

O DEMOKRATYCZNĄ KULTURĘ NARODOWĄ

(przemówienie Sekretarza Generalnego K. C. Z. Z.)

Świat pracy, a więc tym samym i ruch zawodowy zagadnienie swojego stosunku do kultury narodowej rozpatruje obecnie w zupełnie innej płaszczyźnie niż to miało miejsce, gdy ruch zawodowy był w opozycji do państwa, do Rządu, do systemu rządzenia i do klimatu panującego wśród tych, którzy mieli mandat na oficjalne reprezentowanie narodowej twórczości artystycznej.

Wówczas ruch zawodowy walczył o własną pozycję kulturalną, o wyobcowanie się z kultury ogólno narodowej, szermował hasłem kultury proletariackiej i próbował ją realizować w swoich wydawnictwach.

Obecnie, gdy społeczna pozycja mas pracujących jest zupełnie inna niż przed wojną, gdy został zrealizowany jednolity front ruchu robotniczego i pracowniczego oraz sojusz robotniczo - chłopski politycznie uosobiony w formie ustrojowej Demokracji Ludowej, masy pracujące wyrażają w sposób może najbardziej doskonały nie tylko interesy swej klasy, lecz interesy narodu, a tym samym są nosicielami nowej kultury narodowej.

W każdej epoce historycznej inna warstwa społeczna miała monopol na reprezentowanie kultury narodowej nie dlatego, że nie było równoległych innych środowisk kulturalnych, ale dlatego, że panująca klasa w okresach swego rozkwitu i hegemonii monopolizowała wszystkie nieomal dziedziny życia narodowego.

Kochanowski był niewątpliwie nie tylko poetą szlachty polskiej, lecz również poetą całego narodu polskiego, mimo, że już wówczas istniały elementy kultury ludowej, której motywy znalazły dopiero swój wyraz w przesublimowanej przez trzeci stan symbolice poezji Romantyzmu.

Rozwój sił wytwórczych epoki kapitalizmu wysunął dziś skolei na arenę polityczną, w postaci czynnika decydującego, masy pracujące, które wyszedłszy po drugiej wojnie światowej w krajach Europy południowo środkowej z pozycji negacji do roli rządzącej warstwy społecznej, wzięły na siebie odpowiedzialność za naród i za państwo. W tych warunkach z jednej strony reakcja społeczna, licząca na pomoc obcej interwencji stała się czynnikiem antynarodowym i antypaństwowym, z drugiej strony masy pracujące w sojuszu z chłopstwem i znaczną częścią drobnomieszczaństwa wchłonęły w siebie wszystkie zdobycze kulturalne poprzednich etapów i przekroczyły granice zakreślone terminem kultury proletariackiej.

Proces wchłonięcia nie jest jednak równoznaczny z procesem przyswojenia nawarstwienia kulturalnego poprzednich pokoleń. Ten proces dopiero się zaczął — zdobycze dawnych kultur tylko z wielkim trudem sublimują się w nowych pojęciach i częściej obserwujemy zjawiska bądź odrzucania w całości tych elementów przeszłości, które winny być przeżyte w nowej formie, bądź konserwowania nawyków kulturalnych w tej samej postaci, w której występowały w epoce kultury burżuazyjno - mieszczańskiej.

I należy sobie powiedzieć otwarcie, że nie może być inaczej. Zjawisko oddziaływania przemian gospodarczo - społecznych na procesy dokonywujące się w płaszczyźnie sztuki i kultury jest zjawiskiem nie automatyzmu społecznego, a skomplikowanym procesem zachodzącym w psychologii człowieka, a raczej w psychologii tych, którzy są predystynowani do tworzenia kultury.

Musimy bowiem sobie uświadomić, że większość pisarzy, muzyków i innych pracowników sztuki nie zdaje sobie sprawy ze swojej przynależności społecznej i znajduje się pod wpływem różnych środowisk, to wyprzedzając swoją warstwę społeczną, to pozostając w tyle. Krzyżują się wśród nich tendencje i oddziaływania różnych klas.

Niewątpliwie rewolucyjny skok, przerywający ewolucyjny proces nagromadzania zmian natury ilościowej, zarówno w ekonomice jak i w przeobrażeniach społecznych, przyśpiesza analogiczne przemiany w dziedzinie kultury i sztuki. I tu również możemy mówić o rewolucyjnym przełomie, wyraźnie zaznaczonym chociażby i w polskiej sztuce epoki powojennej. Jednakże ten przełom dokonywuje się poprzez dotychczasowe nawyki kulturalne, myślowe, urazy natury psychologicznej i środowiskowej; i dodatkowo jest komplikowany błędami każdej rewolucji, nawet rewolucji „w majestacie prawa".

W kulturze i sztuce nie można nakazywać, dyktować, narzucać i komenderować. Tam gdzie kończy się subiektywizm twórcy, a pozostaje rzemiosło na zamówienie, tam kończy się każda sztuka i zaczyna się okres dekadencji kulturalnej. Twórca musi sam przeżyć nie tylko rozumowo w sferze dostępnej dla argumentacji, lecz co najważniejsze musi je przesublimować na swoje nawyki myślowe, emocjonalne odruchy i wizjonerstwo swojej twórczości. Ten proces nie zachodzi nagle i nawet w wypadkach „skoku" myślowego, długi czas twórczość artysty będzie posiadać bądź skazy przeszłości, bądź próbując się od niej oderwać, przeżyje chorobliwy okres zabkowania każdej szkoły, która chce zapewnić słuchaczy, że sztuka zaczyna się dopiero z początkiem jej działalności.

Włodzimierz Sokorski

Sekretarz Generalny C. K. Z. Z.

I tutaj podchodzimy do kapitalnego zagadnienia wzajemnego oddziaływania środowisk, w danym wypadku nowego środowiska mas pracujących na twórcę i odwrotnie X, ponieważ proces ten jest obustronny i rozpatrywać go należy jako nierozłączną całość.

Przede wszystkim sprecyzujmy pojęcie mas pracujących. Człowiekiem pracy jest zarówno ten kto stoi przy tokarce, jak i siedzący przy biurku, jak wreszcie i ten kto tworzy samodzielnie dzieła sztuki. Droga historyczna tej warstwy jako całości jest jedna i ta sama, jest to droga przejęcia w swoje ręce nie tylko warsztatów pracy, ale i aparatu państwowego, a z chwilą wyeliminowania z orbity stosunków międzynarodowych ideologii kapitału: walki o rynki zbytu, wykreślenie z historii człowieczeństwa wojny, przemocy i w konsekwencji nawet państwa jako aparatu panowania jednej warstwy społecznej nad drugą.

Droga historyczna jest jedna, ale ścieżki wiodące do tej drogi z jednej strony — proletariatu, a z drugiej strony — inteligencji, są różne.

Fakt ciążenia mentalności drobnomieszczańskiej na umysłowość inteligencji, na skutek w pierwszym rzędzie hierarchicznej roli inteligencji w aparacie burżuazyjnego państwa, jest zjawiskiem, bezspornym, jakkolwiek z drugiej strony równie bezspornym zjawiskiem jest i to, że proletariat bez udziału inteligencji—jak to powiedział jeszcze Lenin — nie mógłby przekroczyć Rubikonu tradeunionizmu. Dla sprecyzowania perspektyw historycznych świata pracy, potrzebne było retrospektywne spojrzenie w przeszłość, naukowa analiza mechaniki życia gospodarczego, opanowanie metody dialektycznego myślenia i przyswojenie dla celów nowej klasy nawarstwienia kulturalnego wieków.

A tego dokonać mogła tylko inteligencja.

Dlatego, mimo różnej funkcji społecznej spotkanie się dwóch nurtów pracowniczych było koniecznym warunkiem zarówno w walce o władzę, jak i o utrwalenie władzy, dla sprawowania której potrzebny jest nie tylko instynkt klasowy, czy świadomość klasowa, ale po prostu wiedza.

I równie niewątpliwym jest i to, że kształtowanie nowej kultury epoki demokracji ludowej możliwe jest w znacznym stopniu, a w niektórych dziedzinach wyłącznie (muzyka, malarstwo, architektura) tylko poprzez inteligencję.

Inteligencja nie jest w stanie stworzyć własnej ideologii i własnej kultury, ponieważ nie jest ani klasą, ani funkcją społeczną i wszelkie próby w tej dziedzinie w rodzaju fantazji Wellsa o dyktaturze specjalistów musiały spotkać się z bankructwem i nie wywołały żadnego społecznego oddźwięku.

Inteligencja należy integralnie do świata pracy. Pełniąc jednak inną funkcję w hierarchii społecznej podlegała łatwo ideologicznemu ciśnieniu tych warstw, które rządziły i które nie mogą rządzić bez inteligencji. Parafrazując, z grubą zresztą nieścisłością historyczną, można porównać rolę inteligencji w epoce kapitalizmu do roli „wyzwoleńców" końcowej epoki Cesarstwa Rzymskiego. Oczywiście, rola społeczna proletariatu jest inna niż niewolników, to też funkcja społeczna inteligencji jest dzisiaj również inna niż funkcja „wyzwoleńców".

Zadaniem proletariatu i mas chłopskich jest nie tylko nieprzerwanie zasilać inteligencję materiałem ludzkim, lecz również, a może nawet w pierwszym rzędzie, oddziaływać na nią społecznie.

Proletariat jest potencjalnym nosicielem ideologii i tej kultury, którą w sposób naukowy precyzuje inteligencja skolei oddziaływując i na proletariat. Robotnik, który nie ukończywszy nawet żadnych studiów, lecz wyłącznie pracą społeczną i na drodze samouctwa staje się twórcą ideologicznych podstaw ruchu mas pracujących, staje się przez to samo — w najdoskonalszym tego słowa pojęciu — inteligentem nowej epoki, ponieważ jego nowa funkcja społeczna jest już funkcją inteligencji.

Inaczej mówiąc, nie ma klasowej sprzeczności między inteligencją i robotnikiem — stanowią oni jedną klasę. Występuje natomiast odrębność funkcji społecznej, która wczoraj jeszcze była przyczyną innych dróg ideologicznych proletariatu oraz inteligencji dziś jeszcze jest podstawą różności tego samego procesu ideologicznego, lecz już jutro stanie się tożsamością. Należy przypuścić, że przez podniesienie kwalifikacji specjalnych i ogólnych pracownika fizycznego w perspektywie dziejów zniknie konieczność różnicowania świata pracy na pracowników fizycznych i umysłowych.

Dzisiaj jednak problem przyśpieszenia procesu ideologicznego inteligencji jest dla świata pracy zagadnieniem pierwszej wagi, zagadnieniem, które przesądzi i tempo kształtowania naszej demokratycznej kultury narodowej i jej jakość i jej zakres oddziaływania.

I dlatego trudno przecenić fakt przystąpienia do Komisji Centralnej Związków Zawodowych nie tylko Związków ściśle pracowniczych lecz również i Związków artystycznych.

Warunkiem wypełnienia roli Związków Zawodowych jest zachowanie ich niezależności od państwa i od partii politycznych, nie na skutek niechęci do idei państwa ludowego lub demokratycznych partii, a na skutek innej roli funkcyjnej i społecznej, związków zawodowych i państwa.

Oto dlaczego Związki Zawodowe stanowią teraz skolei dla świata artystycznego i kulturalnego tę olbrzymią bazę społeczną bez oparcia o którą świat artystyczny nie może twórczo istnieć, a tylko o taką przecież formę istnienia chodzi, nie może wrosnąć w środowisko nowej epoki i co najważniejsze nie może zrealizować idei samorządu kulturalnego.

Specyficzny klimat w jakim dojrzewają i rosną elementy nowej demokratycznej kultury polskiej, złożony proces przetransformowania przeobrażeń gospodarczo-ustrojowych na język różnych form życia artystycznego wymaga, żeby sztuka, otoczona opieką państwową, mogła przeżywać proces swoich przeobrażeń samodzielnie i niezależnie.

W ten sposób powstała idea samorządu kulturalnego.

O ile jednak samorząd kulturalny nie będzie tkwił głęboko korzeniami w społeczeństwie, które buduje nową przyszłość, to nieuchronnie wyrodzi się we wroga siłę przeszłości, przeżytą już i przez ustrój i przez masy pracujące. Ten proces może nastąpić niezależnie nawet od subiektywnego nastawienia twórcy. Nie ma bardziej dramatycznego konfliktu dla człowieka, niż gdy znajdzie się w sprzeczności z siłami tworzącym historię. Samotność, gdy jest heroldem postępu nie bywa straszna, nieraz bywa nawet dumna. Samotność, jako rezultat prześcignięcia przez epokę jest zawsze klęską.

I tutaj dochodzimy do najbardziej istotnego zagadnienia, zagadnienia wolności.

Walka o wolność człowieka jest tak stara jak stara jest historia człowieka. Jest to walka z niewolniczymi pętami przyrody, z terrorem własnych instynktów, z przemocą innego człowieka. Ta walka tak długo była beznadziejna, jak długo była ślepa, jak długo tłukła się o kraty więzienia, o własną niewiedzę. Jedyna droga do wyzwolenia człowieka — to nauka, ściślej naukowa metoda poznania praw przyrody, własnych instynktów, praw, które rządzą ekonomiką, socjologiką, polityką, powstawaniem i zamieraniem tych czy innych nurtów artystycznych w sztuce.

Poznać te prawa nie jest jeszcze równoznaczne z opanowaniem procesów powstawania i śmierci. Dopiero opanowanie procesów rozwojowych wszelkich zjawisk życia oznacza wolność.

Ponieważ tylko ten człowiek będzie mógł powiedzieć o sobie, że jest wolny, mówił Engels, który poznał prawa rządzące przyrodą, nim samym i środowiskiem i potrafi świadomą wolę zgodnie z tymi prawami kształtować życie narodu i życie własne. Innej wolności nie ma. Wszelkie inne pojęcie wolności jest zwykłym werbalizmem i anarchiczną próbą protestu przeciwko własnej bezradności.

Nie ulega jednak wątpliwości, że naukowa bezbolesność procesów natury socjologicznej możliwa jest dopiero w społeczeństwie bezklasowym, gdy nie będą człowiekowi przesłaniać horyzontów uprzedzenia natury klasowej.

W Polsce, gdzie już dokonaliśmy skoku rewolucyjnego i gdzie przechodzimy fazę twórczej ewolucji, możemy już, w oparciu o potężne organizacje społeczne jakimi są między innymi i Związki Zawodowe, zdobyć się na powołanie do życia samorządu kulturalnego.

Będzie on stanowił olbrzymią dźwignię postępu nie dlatego, że tego ktoś będzie od niego wymagał, a dlatego, że będzie budować świadomym wysiłkiem kulturę narodową człowieka pracy, zgodnie z tymi zadaniami jakie

historia przed nami postawiła. Dla pełnej jasności obrazu musimy z całą stanowczością stwierdzić, że: świat pracy nie zamawia z góry uplanowanej tematyki i nie stawia warunków, żeby pisano o życiu fabryki, kopalni czy biura. Jesteśmy ludźmi, tym różniącymi się od innych, że działamy świadomie, że opanowawszy naukową metodę dialektycznego myślenia potrafimy nie tylko analizować fakty, ale siebie w tych faktach stwarzać. Historia tę rolę przekazała nam dla tego, że nie przesłaniają naszych horyzontów ideologicznych miliony złotych, które zostały utracone w rezultacie wywłaszczania. Człowiek pracy, robotnik czy inteligent, oczekuje takiej twórczości, która by pokazała jego walkę, jego mękę, jego tragizm codzienności i dramatyczny konflikt dnia wczorajszego z dniem jutrzejszym, w dynamicznym skrócie artystycznego myślenia. Jesteśmy przeciwnikami twórczości propagandowej. Nie chcemy, żeby nas ktokolwiek agitował. Chcemy prawdy. Surowej i dynamicznej, tej która rodzi się, powstaje i umiera, żeby jutro znowu wybuchnąć. Prawdy nie statycznej, nie oderwanej od nieprzerwanego łańcucha tworzenia. Chcemy prawdy, która dzień dzisiejszy sprzęga z dniem jutrzejszym, która pozwoli nam wygrać bitwę nie tylko o przyszłość naszego narodu, nie tylko o przyszłość człowieka, lecz w pierwszym rzędzie pozwoli nam wygrać bitwę o człowieka — twórcę, o godność jego niezależnej myśli.

Włodzimierz Sokorski

REZOLUCJA

II Walnego Zjazdu Delegatów Zawodowego Związku Literatów Polskich

Walny Zjazd Delegatów ZZLP w zrozumieniu doniosłości przeżywanego okresu odbudowy, w obliczu trudności z jakimi boryka się kraj, wzywa wszystkich pisarzy polskich do współdziałania z całym obozem Demokracji Polskiej w planowej odbudowie naszego bytu narodowego, w obronie polskiego stanu posiadania zwłaszcza na Ziemiach Zachodnich i utrwalenia wielkich reform gospodarczych, jako fundamentu postępu społecznego. Zjazd Walny wzywa pisarzy do podjęcia pod kierownictwem literackiego samorządu zawodowego gorliwej, zorganizowanej pracy nad odbudową kulturalną kraju, nad urzeczywistnieniem ideału upowszechnienia kultury w duchu rozpoczętych przemian gospodarczych i socjalnych w duchu postępu, w duchu poszanowania zasad ludzkości i demokracji.

DEPESZA

do Obywatela Bolesława Bieruta Prezydenta Krajowej Rady Narodowej

II Walny Zjazd Delegatów ZZLP składa zapewnienie współdziałania pisarzy polskich z Obozem Demokratycznym w pracy nad odbudową bytu narodowego i kultury polskiej.

TREŚĆ NUMERU 44:

Konstanty Grzybowski — **Wybory a struktura społeczno - gospodarcza.** Mieczysław Jastrun — **Czarne kwiaty Adolfa Rudnickiego.** Apoloniusz Zawilski — **Przyczyny klęski wrześniowej (III).** Jan Śpiewak — ***. Zygmunt Szymański — **Trzy szanse.** Maria Jarochowska — **Od początku.** Tadeusz Breza — **A jeżeli nie powieść, to co!** Zygmunt Pióro — **Humanizm polityczny.** Józef Kowalczyk — **Kilka uwag na tematy wydawnicze.** Henryk Ułaszyn — **Jest źle, ale mogło być gorzej.** Stefan Otwinowski — **W Krakowie.** Kandyd — **Tak toczy się światek. Przegląd Prasy. Noty.** Rysunki: **Bernacińskiego, Kańskiej, Piotrowskiego, Siemaszkowej.**

Główna Komisja Badania Zbrodni niemieckich w Polsce

„ZBURZENIE WARSZAWY"

Zeznania generałów niemieckich przed prokuratorem Rzeczpospolitej Jerzym Sawickim.

Żądać we wszystkich księgarniach.

EUGENIUSZ AJNENKIEL

POWITANIE W IMIENIU MIASTA

W imieniu Zarządu Miejskiego, w imieniu tysięcy robotników, którzy tworzą byt materialny i potęgę przemysłową Łodzi — witam Zjazd Literatów.

Witając najserdeczniej przedstawicieli literatury polskiej w naszym mieście, w przysłowiowej już stolicy polskiego proletariatu, i życząc owocnych obrad — wyrażam jednocześnie żywą nadzieję, że Wasze obrady — Obywatele — poza częścią zawodową — uściślą powiązanie między światem intelektu a światem pracy, a zarazem uwydatnią i podniosą rolę pisarza w dziele dzisiejszej odbudowy i przebudowy Polski.

Tak się złożyło, że Łódź, największe środowisko przemysłowe Polski, nie cieszyło się dotąd łaską literatury. A przecież była to naprawdę „ziemia obiecana" obserwacji, tematów i problematyki dla pisarza, ognisko, skąd jak żywy ogień buchała idea potęgi klasy robotniczej, zapowiedź nowych wartości, nowego ładu. Była to „ziemia obiecana" zroszona nie tylko potem robotnika, ale i krwią wielu pokoleń, tu bowiem stanęły od najwcześniejszych lat rozwoju przemysłu łódzkiego barykady, tu toczyła się zażarta twarda walka o prawa człowieka, o wolność, tu powstawała wizja nowej Polski.

Przypomnę, że właśnie w Łodzi począł się ruch masowy polskiego proletariatu. Tu w kwietniu 1861 roku obserwujemy szczątkowy odruch robotników przeciw maszynie mechanicznej. Tu 1 maja 1892 roku dziesiątki tysięcy robotników łódzkich buntem manifestowało na cześć Święta Pracy. Nie zdusiły tej demonstracji represje caratu, nie zmiażdżyły siły robotniczej kopyta końskie, ani ciosy żandarmów. Krew przelana uświęciła siłę polskiej klasy robotniczej, siłę, której na imię wola ludu. Ta potężna żywiołowa manifestacja robotników łódzkich wykazała konieczność jednolitego frontu mas robotniczych i spowodowała, że rozbity ruch robotniczy połączył się, że powstała Polska Partia Socjalistyczna. Ta manifestacja powiedziała przywódcom, że masy robotnicze zostały już rozbudzone, że stanowią już dostateczny czynnik historii.

Eugeniusz Ajnenkiel
Wiceprezydent m. Łodzi

Podkreślę jednocześnie, że rozwój przemysłu łódzkiego z jego przejawami walki klasowej w następstwie zaważył na rozumowaniu Róży Luksemburg i tutaj szukać należy podstaw programu Socjalnej Demokracji Królestwa Polskiego.

Od tych chwil Łódź staje się kuźnią walki robotniczej, walki, która na sztandarach wypisuje dwa szczytne hasła: wolność i socjalizm. I jednocześnie wokół tych sztandarów skupia się nie tylko polski proletariat z okresu 1905 roku, nie tylko radykalna inteligencja, ale wszystko co było najlepsze i najbardziej postępowe w Polsce.

Walka klasowa, a zarazem walka o niepodległość, o zrzucenie jarzma caratu, czyniła z Łodzi natchnienie i podniete dla lewicowych pisarzy. Jeśli Strug tworzył swoich „ludzi podziemnych", jeżeli Żeromski pisał „Różę" — to z walki robotniczej Łodzi czerpali wysokie podniety.

Gdy pisarze mieszczańscy typu Bartkiewicza czy Reymonta widzieli w naszym mieście tylko teren społecznego spaczenia, tylko zło— socjaliści, zarówno robotnicy, jak i inteligencja — zżywali się z Łodzią, jako środowiskiem walki i tworzenia nowych wartości moralnych.

Idea podniesienia Polski przez lud, wartości klasy robotniczej, — zahartowane jeszcze bardziej w walkach antyhitlerowskich — zwyciężyły i doszły do głosu w sensie przewodnim. Robotnik tworzy nową Polskę. To stwierdzenie na terenie Łodzi traci swoją programowość i nabiera żywych rumieńców życia. Trzeba bowiem wejrzeć w świat robotniczy, trzeba dać usta sprawom robotniczym.

I to właśnie zadanie stoi między innymi przed naszą literatura. Tego oczekują rzesze robotników.

Goszcząc Was, Obywatele pisarze, w robotniczej Łodzi, witając najserdeczniej, wyrażam zarazem nadzieję, że pisarz polski zaufanią mas pracujących nie zawiedzie, że pisarz polski nasze nadzieje i pragnienia zrealizuje.

LEON KRUCZKOWSKI

ZAGAJENIE OBRAD

Pozwólcie, Koledzy, że w tym co chcę powiedzieć, odwołam się do wspomnienia. Widzę na tej sali kilku pisarzy, którzy zapewne również przypomną sobie pewien epizod z warszawskiego zjazdu delegatów naszego Związku w roku — jeśli się nie mylę — 1938. W końcowej części owego zjazdu grupa pisarzy - delegatów (miałem zaszczyt i ja do niej należeć) zgłosiła rezolucję w sprawie wybitnego pisarza niemieckiego Karola Ossietzky'ego. Większość kolegów na pewno pamięta te sprawę. Ossietzky opublikował książkę demaskującą niemieckie przygotowania do wojny, do agresji na Europę. Rząd hitlerowski osadził go za to w obozie koncentracyjnym. W sukursie moralnym dla pisarza antyfaszysty zjednoczył się wówczas cały świat demokratyczny. Uważaliśmy, że w zespole jego głosów nie może zabraknąć głosu pisarzy polskich — sądziliśmy nawet, że ten głos właśnie powinien brzmieć szczególnie mocno. Niestety, wniosek nasz spotkał się wówczas ze zwartym sprzeciwem znacznej większości delegatów. Powiedziano nam że jest to wniosek o charakterze demonstracyjno - politycznym. Związek Literatów zaś, jako organizacja apolityczna... itd. itd.

Myśle, że późniejsze wypadki, że dalszy rozwój dramatu dziejowego, że rok 1939 i pięć dalszych lat — dowiodły słuszności i głębokiego sensu naszego wówczas wystąpienia; naszego, tj. szczupłej garstki pisarzy - wnioskodawców w sprawie Ossietzky'ego. Ze smutkiem wspomnieć trzeba, że dwaj ludzie spośród tych, którzy najmocniej przeciwstawili się wnioskowi, w okresie nocy okupacyjnej zdobyli się na tak daleko idące konsekwencje swego przedwojennego stanowiska, że w wolnej Polsce musieli znaleźć się poza granicami naszej pisarskiej społeczności. Inni — „nieprzejednani" wobec nowego stanu rzeczy w kraju — przebywają dziś na emigracji. Ci zaś spośród ówczesnych naszych oponentów, którzy wojnę przeżyli w ojczyźnie, na ziemi walki, i którzy są dziś między nami, zapewne zgodzą się ze mną, jeśli powiem, że różniło nas wtedy — w gruncie rzeczy — jedno tylko: **promień widzenia,** rozpiętość między okiem a rzeczami ukrytymi w fałdach czasu.

Leon Kruczkowski
Wiceminister Kultury i Sztuki

Dlaczego przypomniałem ten tak odległy już dziś epizod z dziejów naszego Związku? Oto dlatego, że Zjazd ten zebrał się w momencie, o którym śmiało można powiedzieć, że jest progiem ważnego okresu naszej powojennej historii. Okresu który ma przynieść decyzje wyznaczające na kilka conajmniej lat bieg rzeczy publicznych w naszej ojczyźnie. A kilka lat w takiej epoce jak nasza — to stanowienie o losach i życiu pokoleń.

I otóż powiem szczerze: byłoby może wygodniej dla nas, którzyśmy w r. 1938 bezskutecznie upominali się o głos pisarstwa polskiego na rzecz Ossietzky'ego, na rzecz jednej z pierwszych ofiar przyszłego kata naszego narodu, — byłoby może, powiadam, wygodniej dla nas, **w naszej dzisiejszej sytuacji,** gdybyśmy — wzorem naszych możnych wówczas kolegów — przeciwników — proklamowali na tym zjeździe apolityczność naszego Związku, negowali prawo tego zjazdu do wypowiadania się głosami o wydźwięku politycznym. Powtarzam, byłoby to może i wygodniej dla nas... Ale nie należymy do ludzi, którzy dla ułatwienia sobie życia gotowi są rezygnować z zasad.

Sądzę, że pisarz — chce czy nie chce — **jest człowiekiem politycznym.** Jedno tylko obowiązuje go, bardziej jeszcze niż praktycznego polityka: właśnie ów „promień widzenia". Promień wszelkiego widzenia: zarówno tego, co przenikliwie i odważnie drąży przeszłość swojego narodu, by dotrzeć do korzeni jego siły oraz do źródeł jego słabości, zaniedbań i klęsk; jak i tego co w rozumnym skupieniu ogląda żywą dzisiejszość zbiorowego bytu, uczciwie oceniając zło i dobro, światło i cienie, wytężoną walkę sprzecznych sił dziejowych: jak wreszcie i tego, dalekosiężnego widzenia, które z zamętu dnia wysnuje i wywiedzie wyraziste projekcje przyszłości.

Taka to właśnie — i myślę, że tylko taka — „optyka" polityczna obowiązuje pisarza.

Życzę Wam, Koledzy, aby ona — niezawodna w codziennym Waszym trudzie pisarskim — zamanifestowała się chlubnie i w obradach tego Zjazdu.

JERZY ZAGÓRSKI

O LEKKOMYŚLNOŚCI

Zapożyczając terminologii od fizyków, nie będzie przesadą powiedzenie, że publicystyka polska i literatura osiągnęła dziś przed tem nie posiadane ramię siły. Czy wpływ słowa i głoszonej przez nie myśli na rzeczywistość jest dostatecznie ważny — to już inna sprawa. Wpływ ów zależy od wielu przyczyn, między innymi od samego ciężaru gatunkowego rzeczy głoszonych, niemniej jednak owe ramię siły nie jest bez znaczenia. Mówiąc o nim, mam na myśli oczywiście ów zasięg liczbowy czytelnictwa, owe dwudziestopięcio — i trzydziestopięcio - tysiączne nakłady książek a kilkudziesięcio - tysiączne nakłady tygodników, oraz parusettysięczne magazynów i dodatków do pism codziennych, w których pisują literaci.

Pamiętamy, przedtem te rzeczy wyglądały inaczej. Czytelnictwo miało do rozporządzenia większą ilość pozycji bibliograficznych, ale w jawnym z tym związku wysokości nakładów były znacznie mniejsze. Podobnie jak u nas przed wojną zarysowuje się obecnie ta sprawa w zachodniej Europie, gdzie poza krajami rozporządzającymi językiem rozpowszechnionym na całym świecie, ilość wydawanych pism i książek jest pokaźna, ale ich nakłady w porównaniu z dawnym czasem nie wzrastają. Na przykład we Włoszech próbowano zliczyć ilość pism w celach przeprowadzenia ich ewidencji, ale gdy doliczono do pięciu tysięcy zaniechano żmudnej pracy. Oczywiście w owych warunkach znaczenie poszczególnych pisemek może być bardzo nikłe, nakład skromny, a rezonans roztapia się w powodzi mnóstwa konkurujących ze sobą dziennikarskich sklepików. W takich warunkach pisma nie mogą nawet zapewnić egzystencji swym współpracownikom, skłaniają się ku prasie rewolwerowej, nie rzadko pióro zaciąga się w służbę uboczną i czerpie dochody nie w postaci wynagrodzenia za swą pracę bezpośrednio przez wydawców lecz w postaci opłat od ludzi i instytucji, a nawet państw zainteresowanych w jakichś tematach. Dochody te nieraz swym stylem ocierają się o rodzaj łapówek.

Przy całkowitej rzeczywiście swobodzie prasy następuje również inflacja literatury kryminalno - sensacyjnej, rysunkowej w kiepskim jak tam nazywają „amerykańskim" guście, no i po prostu pornografii. Inflacja owa wyraźnie zagraża czytelnictwu i stanowi poważną konkurencję dla książek i pism wartościowych, co twierdzili w rozmowie ze mną nie tylko włoscy literaci, ale i redaktorzy. Na przykład pani Cespedes, może najwybitniejsze pióro kobiece włoskie, redaktorka „Mercurio", wartościowego literackiego, włoskiego miesięcznika, odpowiadającego naszej „Twórczości", czy też „Znakowi", a nie mogącego osiągnąć podobnego resonansu, mimo że w zasadzie chłonność i wrażliwość Włochów na sztukę, literaturę, poezję była zawsze nieporównanie większa i bardziej powszechna niż u nas. Oczywiście jeśli idzie o książki, sytuacja nie przedstawia się lepiej i w krajach najbardziej kulturalnie zaawansowanych, tak zwana wagonowa lektura zagłusza myśl. Może nie tak drastycznie przedstawia się sprawa we Francji czy Belgii, których język jest językiem świata, ale i tam inflacja rzeczy bezwartościowych nie przechodzi bez wrażenia. Następstwem tego jest obniżenie nie tylko gospodarczej sytuacji ale i społecznego znaczenia właściwej literatury i publicystyki, które mają bardzo wyraźne wspólne interesy i wiąże je bardzo wyraźna wspólnota losu. W mniejszym stopniu daje się to odczuwać w Czechach, ale i tam już sygnalizują zmniejszanie się kolportażu poszczególnych pozycji przy wzroście ilości tych pozycji.

Zupełna odmienność naszej struktury publikacyjnej, gdzie osiąga się powiększenie nakładów przy zmniejszeniu ilości pozycji w porównaniu ze zwyczajem dawnym, ma swoje oczywiste wady ale i oczywiste zalety. Wadą jest zbyt długie marynowanie rękopisów lub w ogóle ich nieogłaszanie. Możnaby spisać listę najwartościowszych rzeczy, które po prostu domagają się ogłoszenia lub wznowienia. Czasem potrąca nawet o kompromitację zestawienie rzeczy uprzystępnionych z nieuprzystępnionymi. Zaletą natomiast jest to, iż na ogół biorąc rzeczy opublikowane mają większe szanse, aby nie przejść bez wrażenia, a oczekujący swej kolei autorzy najwartościowszych prac mogą się pocieszać czy łudzić tym, że co się odwlecze to nie uciecze. Każda książka, ba, każda nawet publikacja w czasopiśmie ma nie tylko nadzieję na większą ilość tych, którzy przeczytają, ale spływa na nią jeszcze i to dobrodziejstwo, że jest zauważalna, mniej ginie w niepamięci, i nieporównanie bardziej niż przed wojną każde ogłoszone dzieło jest sprawą publiczną, narodową, powszechną.

Ten referat nie jest napisany w celach licytowania się z zachodem czy naszym własnym stanem przedwojennym. Stan naszego czytelniczego forum, jak mówię, ma swoje wady i zalety, ale skoro ma właśnie opisaną strukturę, musi być ten stan wzięty pod uwagę przez każdego, kto wychodzi na rynek ze swym słowem.

Skoro wiemy od fizyków, że ramię siły ma wpływ kapitalny na jej efekt, za ramię siły naszej literatury uznamy jej bardziej masowy niż dawniej resonans — nie możemy nie spostrzec, że skutki głoszonych przez nas słów mogą być dziś większe w sensie doraźnym niż dawniej, to znaczy niż się przyzwyczailiśmy. Na tak umieszczonej szali koliber ma znaczenie słonia. Nakłada to na literatów olbrzymie obowiązki i powinno nakazać kolibrom, aby uzbroiły się w rozwagę słonia. Pamiętajmy, że myśl z egzystencją ma dziś powiązania bardzo mocne choć nieraz skomplikowane.

Nie chciałbym namawiać kolegów do pozbawienia się swej dotychczasowej lekkości, polotu, czy łatwości w podchodzeniu do tematu, ani skłaniać ich do ucieczki od owego promienia wesołości, który otwiera uśmiechy ludów twórczych — chodzi jednak o to, abyśmy jako artyści i filozofowie zyskali większą świadomość tego co się czyni. Dziś przebaczanie nie wiedzącym co czynią nie ma już tego tonu co dawniej. Nie lekkość, nie śmiech, nie odwaga nasza w mierzeniu się z tematem ponad siły może przynieść szkodę umysłom naszych czytelników, lecz przyniesie ową szkodę mętniactwo, działanie w malignie. Nawet koliber, gdy uzyska większe ramię siły, a będzie trwał w malignie, może wywołać swymi odruchami skutki słonia w malignie.

Wyjście ze stanu maligny oznaczy wyjście ze stanu niewiedzy co się czyni, a przejście do stanu wiedzy o tym co się dzieje w świecie.

A na świecie dzieją się w tej chwili rzeczy dość poważne. W każdym razie na tyle poważne, aby literatura nie zrezygnowała z prawa uczestnictwa we wglądzie w te sprawy. Słusznie nasz polski filozof ksiądz Konstanty Michalski twierdził w dyspucie z Mounier, że dziś, gdy ludzkość dostała do ręki siły boskie, musi temu towarzyszyć i rozwinięcie ludzkiej świadomości do koloratywnych wymiarów, czyli boskich. Kogo razi ta terminologia niech użyje zwrotu: siły dotąd nie posiadane żądają i odpowiedniego rozwoju świadomości, aby nad nimi zapanować. Że to jest możliwe, można uzyskać konsens zarówno teistów katolickich, jak i materialistów dialektycznych. Pierwsi w nadziei łaski jaką Ojciec może zesłać na zagrożone dzieci znajdą podnietę do dążenia ku rozszerzeniu swej świadomości, drudzy w prawie że byt określa świadomość znajdą podporę do zaufania, że świadomość ludzka w nowej erze przemieni się i rozwinie.

Że rozwój świadomości ludzkiej powinien i może nadążyć za rozwojem bytu, a z punktu widzenia humanisty, że rozszerzenie horyzontu może i powinno towarzyszyć rozszerzeniu możliwości technicznych, słowem, że w nową erę techniczną możemy i musimy wejść ze świadomością bardziej rozbudowaną niż poprzednio wydaje mi się prawdopodobne.

Przypuszczenie, że od dawien dawna ludzkość rozwija się tylko pod względem technicznym, a nie rozwija swej humanistycznej świadomości jest złudzeniem, jakie mógłby mieć wspinający się po wzgórzu, gdyby twierdził, iż głowę trzyma ciągle na tej samej wysokości, gdyż stale taki sam ją dzieli dystans od stóp. A tymczasem w miarę jak stopy potrącają o co raz wyższe kamienie — i głowa turysty wznosi się coraz wyżej, a widnokrąg ogarniany przez jego oczy może być coraz szerszy. Dziś, gdy rozwój techniczny nauk postawił nas przed zagadnieniem większego panowania nad bytem niż kiedykolwiek, a nawet przed zagadnieniem zagłady rodzaju — i świadomość nasza musi zdobyć się na większy stopień odpowiedzialności niż dawniej. Ci, co nie wiedzą co czynią, zasługują więc na przebaczanie bardzo oględne.

Lekceważenie sobie tych sił, które dostały się ludziom do ręki, nie sądzę aby było rozważne. Inaczej na tę sprawę zapatrują się niektórzy płosi publicyści, inaczej uczeni fachowcy. Joliot Curie oświadczył, że raczej nie bierze już odpowiedzialności za całość skorupy ziemskiej, jeśli prace będą postępowały nadal. Tymczasem tych spraw powstrzymać nie można. Jest to już sprawa żywiołu. Analogie można przeprowadzić chyba z tą epoką, gdy ludzkość dostała w rękę ogień — wtedy stanęła przed zagadnieniem nowego niszczycielskiego, strasznego a zbawiennego narzędzia. Mit Prometeusza mówi jak to na pożytek ludziom ów ogień został wykradziony zazdrosnym bogom. Złodziej zapłacił jednak wysoką cenę cierpienia wiecznego. Ale dzisiejszy Prometeusz miałby zadanie trudniejsze. Nie wystarczyłoby udzielić ludziom na ich użytek nowej siły — należałoby jeszcze ludzi nauczyć obchodzenia się ze światem w sposób o tyle rozważniejszy niż dotychczas, o ile świat bardziej niż dotychczas grozi eksplozją.

„Brzytwa w ręku szympansa" — tak się niekiedy dziś mówi o atomowej energii. Dość słusznie. Wprawdzie mózgi tych którzy tą bronią władają są zasadniczo inaczej sfałdowane niż mózgi szympansów, ale i to co mają w ręku nie jest tylko brzytwą. Proporcje są zachowane.

Kiedyś w dyskusji ze Stefanem Żółkiewskim przy okazji jakichś rozważań nad dziełem Pigonia, podjąłem karkołomną próbę takiej definicji na kapitalny temat związków między bytem i świadomością jaką mogliby przyjąć i tomiści i uczniowie Marksa jako podstawę dyskusji. Otóż przez katolika, głoszącego katolicki realizm, świadomość ma niewątpliwie wpływ na byt ale i byt oddziaływuje też na świadomość, wpływają na siebie nawzajem. Słowem i byt i świadomość warunkują się wzajemnie, przewidywanie zaś bytu jest bardzo ważną funkcją świadomości. Otóż dla materialisty przede wszystkim byt określa świadomość i byt jest primum w stosunku do świadomości. Ale skoro ta już zaistnieje będzie w nią wchodziło jako skutek logiczny jej istnienia i przewidywanie, a doskonalej ukształcona świadomość musi się oprzeć już nie tylko na bycie, ale i na przewidywaniu. To też marksista, który nie zechce upraszczać, nie zechce być marksistą wulgarnym, przyzna, że w dalszym logicznym łańcuchu na doskonałe, ukształtowaną świadomość składa się już nie tylko sam byt lecz i jego przewidywania.

„Świadomość jest określana przez byt i przewidywanie bytu"... Nie wydaje mi się, abym przez takie zdefiniowanie obraził kogo herezją. Dalej oczywiście drogi mogą się rozchodzić i czy na owe przewidywanie może mieć wpływ łaska zesłana przez istotę Boską czy też nie — pozostanie przedmiotem sporu, ale jeśli zgodzimy się wszyscy, że elementem niezbędnym dobrze funkcjonującej świadomości jest zdolność p r z e w i d y w a n i a, być może wtedy już znacznie się zbliżymy do tego stanu, który umożliwi nam i w nowej zgubie. Przewidywanie, zdolność przewidywania wydają się dziś elementem świadomości bardziej koniecznym do zaakcentowania niż dotychczas, gdy skutki złych przewidywań ludzkich mogły powodować nieszczęścia partykularne, a nie kosmiczne.

W Polsce, któż bardziej niż literatura wyraża świadomość społeczną i reprezentuje ją z przyczyn omówionego już swego resonansu. Kto inny więc jeżeli nie ona pierwsza wyruszy na wojnę z naszą lekkomyślnością — tą właśnie cechą która nas jako naród może zdyskwalifikować, gdy narody będą wkraczały do nowej epoki. Bo przewidywanie to wojna z lekkomyślnością, a lekkomyślność to wróg egzystencji dziś większy niż kiedykolwiek.

Trudno upierać się przy tym, jakoby istniały jakieś fatalne narodowe predyspozycje i jakoby różne zespoły cywilizacyjne nie miewały podobnych usterek. Jednak, my właśnie literaci, nie możemy zaprzeczyć, że grupa narodowa istnieje jako pewne zjawisko, z którym my, zwłaszcza literaci jesteśmy związani wyraźną wspólnotą losu. Otóż właśnie zadaniem nas literatów jest wpływanie środkami, jakimi rozporządzamy, na świadomość polską, aby sprzeczne ze sobą siły jakimi wydaje się ludzkość naładowana, nie zaprzeczały istnienia pewnych wspólnych celów. A te wymagają jakichś takich niepisanych układów, które by znajdywały piękny precedens w naszej historii w postaci Ugody Warszawskiej, gdy strony nie wyrzekając się swych wiar i wcale nie żądając od siebie kompromisów, umiały zrezygnować z walki niewłaściwymi środkami.

W specyficznym geograficznym i politycznym położeniu Polski wysiłki podejmowane w tym kraju nie mogą z pozoru mieć wielkiego wpływu na losy świata. Mogą jednak mieć wielki wpływ przykładowy. Tu bardziej może niż gdzieindziej jak w doświadczalnej probówce można i trzeba przedsięwziąć eksperyment nie ostatecznego pogodzenia, bo nie o to chodzi, aby zapanował marazm, lecz praktycznego umówienia się przedstawicieli różnych tendencji filozoficznych, ożywiających ludzkość co do stworzenia takich warunków, aby emulacja, walka ideowa, konkurencja nie zagrażały wraz ze zniszczeniem wszystkiego, zniszczeniem i tych nadziei jakie ich wyznawcy wiążą ze swymi doktrynami i wiarami, teoriami i filozofiami.

Trzy, od siebie niezależne, acz niekiedy w praktyce koalicjujące się z sobą wielkie ideowe siły są dziś w świecie zauważalne: katolicyzm i komunizm, które są dotąd w ofenzywie, i liberalizm, który znajduje się w defenzywie, ale jeszcze ma dużą gatunkową wagę. Dwie pierwsze filozofie (jeśli kto woli teorie) są w założeniu heroiczne, trzecia nie, ale w praktyce i ona tworzy ludzi mężnych, a niekiedy aż nazbyt przedsiębiorczych. Być może w różnych konstelacjach i na różnych arenach siły te będą się nieraz ze sobą wrogo mierzyły. Są jednak od siebie dziś współzależne. Zagłada mechaniczna którejś z tych sił nie rozwiązuje jeszcze sprawy innym. Natomiast wszystkie trzy mają jeden wspólny wyraźny mianownik. Wszystkie trzy dążą do rozumianego po swojemu dobra ludzkości. Tak i zawodnicy sportowi, choć każdy biegnie w innych barwach i skupia inne nadzieje, mają jedną rzecz wspólną i jeden wspólny warunek swego wyczynu — mianowicie istnienie bieżni. Bez bieżni konkurencja czy walka z przeciwnikiem staje się bezprzedmiotowa. Otóż istnieje w świecie zupełnie realna obawa, że bieżnia ulegnie zagładzie.

Nie wiem, czy na taką ewentualność mogą się pisać wszyscy trzej zawodnicy. Dwaj z nich dlatego, że do bieżni przywiązują jednak pewną wagę, jeden dlatego że choć nie przecenia owej ziemskiej bieżni, ale uważa samobójstwo, a tym bardziej samobójstwo świata za rzecz występną i nie rozwiązującą sprawy zbawienia ani dla jednostek, ani dla zbiorowości. Niekiedy w praktyce ostre deklaracje proroków chrześcijańskich mogą miewać posmak samobójczy, nie mamy wtedy jednak do czynienia z duchem prawdziwego chrześcijaństwa i prędzej czy później zostanie odkryta ich heretyckość. Istnieją dostateczne powody aby zarówno katolicy jak materialiści i liberałowie, nie rezygnując z myśli o swym ostatecznym ideowym zwycięstwie znaleźli podstawy do porozumienia choćby w tej jednej skromnej kwestii: konsensu w sprawie oddalenia zagłady globu.

A istnieje przecież siła, która przed dążeniem do tej zagłady nie zawahałaby się, trzeba więc ją ujarzmić. Siłą tą są tkwiące także w ludzkości skłonności nihilistyczne. Militarny rozgrom hitleryzmu był jasnym przykładem, że zarówno liberałowie jak marksiści i katolicy mogą się w obliczu wspólnego niebezpieczeństwa koalidować. Ale, mimo że upadł faszyzm, nie przeszedł on przez świat bez śladu a jego posiew trzeba będzie jeszcze może długo wypleniać pod różnymi szerokościami i długościami geograficznymi świata, a jego dywersję w szeregach idących pod niejednym sztandarem. Narodowych socjalistów można było powalić fizycznie, ale nie wystarczy militarny wysiłek całego świata na wy-

tępienie odruchów tego, co w hitleryzmie było najgłębsze i najistotniejsze — mianowicie n i h i l i z m u.

Do najbezwzględniejszej ideowej walki przeciw n i h i l i z m o w i warto mobilizować siły nawet sobie w założeniach przeciwne, ale mogące uzyskać ten jeden przynajmniej konsens. Któż tą mobilizację przeprowadzi jeśli nie literaci? Warto aby przedsięwzięli to zwłaszcza literaci w Polsce gdzie specyficzne warunki geograficzne i społeczne mogą z nas uczynić teren pierwszych prób dla nowych form ludzkiego współżycia w nadchodzącej erze w wypadku, jeśli świat pójdzie ku rozwiązaniom pokojowym. Te same warunki mogą uczynić z naszego kraju erę bezprzykładnej zagłady, jeśli nie będziemy zmierzali ku owemu pokojowi; a jeśli pokój pęknie, jedyną rzeczą, która może umniejszyć nasze nieszczęście, będzie zaprzągnięcie wszystkich sił rozporządzalnych do funkcji sanitarnych i policyjnych. Jeśliby literaci zgodzili się na to, że udział ich w walce z nihilizmem jest warunkiem utrzymania przez nich znaczenia w nowej erze musieliby poświęcić jedną ze swoich cech, jaka do niedawna ozdabiała ich metier — mianowicie lekkomyślność. W nowej erze nie będzie miejsca dla lekkomyślnych. L e k k o m y ś l n o ś ć stanie się zbrodnią równą nienawiści, zazdrości, zemście. Nie oznacza to abyśmy chcieli tępić wesołość, lekkość, polot, radość, trzeba będzie jednak tępić n i e o d p o w i e d z i a l n o ś ć, ową kolibrowatość, która zawsze bywała pokusą poetów, esseistów i nowelistów.

Są wyraźne znaki, że skrupulatna troskliwość o myśli głoszone uwije swe gniazdo w naszej publicystyce i literaturze. Przykładem takiej, aż przesadnej skrupulatności może być drukowany latem w „Odrodzeniu" artykuł Jerzego Andrzejewskiego o polskim antysemityźmie, gdzie zostały poddane rozważze nawet z pozoru niewinne żarty z osób innej rasy. Jednocześnie jednak w tym artykule potrafił autor dodać i szlachetne uwagi w obronie własnego społeczeństwa. Innym przykładem skrupulatności może być artykuł Jana Kotta, uważanego dotąd za bardziej utalentowanego niż rozważnego pisarza, artykuł zamieszczony w „Przekroju" o strefie francuskiej okupacji w Niemczech, artykuł prawdziwie ostrzegający.

Są jednak i rażące przykłady lekkomyślności i nie liczenia się ze słowem głoszonym. Istnieje specjalny styl zwracania się do polskiego ludu w formie listów do Koryntian. Czasem takie listy przychodzą z daleka, nawet zza morza. Skutkiem ich jest tylko jątrzenie, powoduje efekty najgorsze, zupełnie inne niż by należało. Na przykład alarmowanie, jakoby Watykan kokietował niewspółmiernie społeczeństwo amerykańskie, jakiż może tu mieć skutek w naszym kraju. Czy podważy się autorytet Watykanu, czy ochłodzi sympatię dla Amerykan? Przeciwnie, będzie się tylko jątrzyło. Co więcej, takie jednostronne, sporne naświetlenie ma posmak donosu bez pomyślenia o skutkach, a może nawet z pomyśleniem ale z ich zlekceważeniem.

Inny rodzaj lekkomyślności przejawiają fabrykanci wazeliny. Oleju nam dziś potrzeba, nie wazeliny. Trzeba umieć te tłuszcze odróżnić. Wagony wazeliny ani nie udobruchają czytelników i społeczeństwa, ani nie wzbudzą do nas zaufania przyjaciół, sojuszników i protektorów.

Zabawne, że nieraz rekordy wazeliniarstwa biją nie ci, którzy od razu od początku stanęli do pracy nad nową rzeczywistością, ale ci, którzy długo się namyślali z powrotem do kraju, by potem skoczyć w rzeczywistość z zamkniętymi oczami i szaleć jako najlepsi nietyle jej współpracownicy, co podlizywacze.

Jerzy Zagórski

Czytajcie i prenumerujcie
„Kuźnicę"

JAN BRZECHWA

O sytuacji zawodowej pisarzy*)

Jest szereg zagadnień natury zawodowej — zagadnień, które składają się na pojęcie bytu pisarza polskiego.

Ale o sprawach tych mówiło się tylko mimochodem, a wydaje mi się, że już najwyższy czas, aby je jakoś usystematyzować, postawić wyraźnie i znaleźć dla nich odpowiednie miejsce w hierarchii zagadnień publicznych.

Wiemy wszyscy, jak ciężka była sytuacja materialna pisarza przed wojną. Ale przyszła epoka wielkich przemian i wielkich nadziei.

Zdawało się, że teraz wreszcie los pisarza dozna rzetelnej poprawy i że w nowym porządku społecznym znajdzie się odpowiednie dla niego miejsce.

Niestety, musimy to sobie powiedzieć otwarcie — prócz obietnic nic nie uzyskaliśmy. Manifest P.K.W.N. zapowiedział uprzywilejowanie pracowników kultury, Krajowa Rada Narodowa potwierdziła, tę zapowiedź, a przedstawiciele rządu głosili ten mit przy wielu rozmaitych okolicznościach.

Od chwili ogłoszenia manifestu P.K.W.N. upłynęły dwa lata. I rzeczywistość pozwala nam dzisiaj stwierdzić, że otrzymaliśmy czek, który nie ma pokrycia.

Twierdzenia moje dotyczyć będą wszystkich zawodów twórczych, ale mówić tu pragnę tylko o pisarzach. I postaram się udowodnić, że nie tylko nie ma mowy o jakichkolwiek przywilejach, ale przeciwnie, na każdym kroku daje się odczuć niechęć do ludzi pióra i jaskrawe ich upośledzenie. Zacznijmy od Ministerstwa Kultury i Sztuki. Mogłoby się wydawać, że w resorcie gdzie kierownicze stanowiska zajmują koledzy literaci, departament literatury stanie się beniaminkiem. Tymczasem zaobserwować możemy dziwnie paradoksalny objaw: budżet tego departamentu w porównaniu z ogólnym budżetem Ministerstwa jest nieprawdopodobnie, po prostu śmiesznie nikły. Subwencje dla Związku literatów jeszcze we wrześniu nie przekraczały 300,000 zł. Drugie 300,000 otrzymali pisarze z listy zasiłków.

Te głodowe dotacje mają zaspokoić potrzeby literatury w Polsce. Słyszeliśmy wczoraj o milionach, które na literaturę, rzekomo są przeznaczone.

Ale skoro ich nie dostają literaci, ani nie dostaje związek, to gdzie jest ta literatura?

Olbrzymie sumy z budżetu Ministerstwa Kultury i Sztuki łożone są na teatry. Nie żałujemy teatrom tych pieniędzy, ale nie wolno przecież zapominać, że nie ma teatru bez pisarza. Słyszymy nieraz skargi, że literaci nie zaspakajają potrzeb repertuarowych teatrów, ale nie dostrzegamy żadnej realnej troski o ułatwienie pracy pisarzowi.

Rząd wypłaca niektórym pisarzom zasiłki po 3,000 zł miesięcznie. Początkowo była to lista zasłużonych, potem przemianowano ją na listę ubogich. Skromne, niemal żenujące wsparcie dla pisarza ze strony Państwa. A przecież inna była obietnica. Rząd miał zabezpieczyć pisarzom nie żałosną wegetację za 3,000 zł miesięcznie, ale możność pracy twórczej. W Polsce jest trzystu kilkudziesięciu członków Związku Literatów. Trzystu kilkudziesięciu pisarzy, którzy mają odbudować za siebie i za tych, co zginęli, literaturę polską.

Wśród tej garstki nie należy wyszukiwać mniej lub bardziej zasłużonych, mniej lub więcej ubogich.

Państwo powinno troszczyć się o nich wszystkich. Legenda o dobrobycie wśród pisarzy, o wielkich zarobkach jest powtarzana bezkrytycznie przez ludzi prostych i przez dygnitarzy państwowych. Tę szkodliwą legendę należy zwalczać. Istotnie, jest pewna niewielka grupa pisarzy, którzy dzięki szczęśliwym, ale przypadkowym okolicznościom zarabiają więcej od innych.

Cała jednak pozostała masa pisarzy ciężko walczy o byt. Jeżeli zaś chodzi o tych, którzy kłują w oczy swymi sukcesami finansowymi, to trzeba przecież zawsze pamiętać o szczególnym charakterze kariery pisarskiej, o tym, że obejmuje ona krótkie okresy wydania książki, po których następują przerwy.

A ważne jest również i to, że gdy tylko zapełnią się luki na rynku księgarskim i gdy pierwszy głód książki będzie zaspokojony, nawet ta grupa szczęściarzy straci swoje zarobki, o których tak wiele się mówi, a które są jeszcze wielokrotnie niższe od zarobków pierwszego lepszego sklepikarza czy handlarza warzyw.

Upośledzenie pisarzy można stwierdzić też i gdzieindziej.

Wczoraj była już mowa o tym, że Ministerstwo Komunikacji prośbę o ulgowe bilety kolejowe dla literatów załatwiło odmownie.

To, z czego korzystają dziesiątki tysięcy urzędników, okazało się nieosiągalne dla nas, jak gdyby na budżecie Państwa zaważyć mogły przejazdy garstki pisarzy.

Nie lepiej dzieje się w Ministerstwie Aprowizacji i Handlu. Wprawdzie Minister Sztachelski z niezmienną życzliwością przyznaje literatom obfite przydziały żywnościowe i tekstylne, ale zaraz po wyjściu z jego gabinetu cerber ministra, niejaki dyrektor Wójcik, wszystkie te przydziały anuluje i taka zdumiewająca procedura powtarza się stale od roku. Może innym oddziałom powodzi się pod tym względem lepiej. Przytaczam tu doświadczenia oddziału łódzkiego. Z drugiej jednak strony wiemy, że zarówno aktorzy, jak i dziennikarze, jak i pracownicy rozmaitych zrzeszeń czy spółdzielnie korzystają z przydziałów częstych i obfitych.

Ta sama obojętność dla losu twórców cechuje również polskiego ustawodawcę.

Projekt Dekretu o funduszu twórczości literackiej, który miał przynieść znaczne sumy związkowi literatów i literaturze w ogólności, jako mało ważny od roku tuła się po ministerialnych biurkach.

To samo dzieje się z projektem dekretu, który miał poddać pewnej kontroli umowy wydawnicze zawarte w czasie okupacji. Za rok dekret ten prawdopodobnie w ogóle przestanie być aktualny. Przez samo odleżenie się, czyli metodą ulęgałki.

Żaden dekret, żadna ustawa, ani żadne nawet rozporządzenie nie wyodrębnia literatów. Jeżeli mowa o ulgach przy nabywaniu poniemieckich mebli, wśród szeregu kategorii osób, którym ulgi te przysługują, zawody twórcze są pominięte. Nadzwyczajna Komisja Mieszkaniowa, która miała usuwać elementy antypaństwowe, już trzeciego dnia swego urzędowania zgłosiła się do domu literatów w Łodzi i tylko dzięki interwencjom osobistym zażegnano ścieśnienie mieszkańców w tych domach. Podatek od lokali, chociaż w zależności od podatnika może być obniżony do 70 proc., nam wymierzany jest w 100 proc. Nawet tam, gdzie mówi się o normach wpłat na pożyczkę odbudowy, czy na odbudowę Warszawy, wymienia się wszelkie zawody, studentów, aktorów, księży itd., pomija się literatów.

Ustawodawstwo podatkowe, które faworyzuje rozmaite kategorie ludzi, zapomniało o pracownikach kultury. W praktyce, jeżeli chodzi o podatek dochodowy, zrównano pisarzy z wolnymi zawodami. Jest to rażący błąd. Adwokat, lekarz, inżynier w swej pracy zarobkowej niczego się nie wyzbywa.

Natomiast rzeźbiarz, który sprzedaje rzeźbę, pisarz, który daje dzieło nakładcy, — wyzbywa się swej własności, swego stanu posiadania, części swego majątku, tak jakby się wyzbył zegarka czy pierścionka. Musimy walczyć o przeprowadzenie tej tezy, że pisarz nie ma dochodu i że za dochód co najwyżej mogą być uważane zarobki pochodzące z przedruków, ale nie dziewiczej publikacji utworu.

Wszystkie te bolączki, o których wspomniałem wyżej przybierają niejako charakter epidemiczny. Wypływają one w znacznej mierze z obniżenia autorytetu naszego związku, co chyba nie ulega wątpliwości. To obniżenie autorytetu obserwujemy na każdym kroku głównie w stosunkach z władzami. O ile mi wiadomo, uskarżał się na to samo również oddział krakowski. Tylko temu objawowi można przypisać fakt, że nie zostaliśmy zaproszeni do wzięcia udziału w tygodniu książki, ani w zjeździe oświatowym, ani w kilku innych imprezach podobnych.

To pomijanie związku jest symptomatyczne i pierwszy wysiłek nowego zarządu winien być skierowany na przywrócenie związkowi literatów utraconego autorytetu.

Jednym z takich symptomów jest niebezpieczna tendencja spółdzielni wydawniczych do narzucania autorom coraz to bardziej niekorzystnych umów.

Spółdzielnie wydawnicze skomercjalizowały się, a nadto prowadzą rozmaite inne kosztowne imprezy. O ile przed rokiem jeszcze mowa była o tym, że honoraria płacone przez spółdzielnie będą wyższe od honorariów płaconych przez prywatnych wydawców, o tyle dziś obniżenie przez nie procentu autorskiego odbywa się w zastraszającym tempie.

Z 15 proc. spadło na 12 proc., a ostatnio czynione są próby, aby je obniżyć o dalsze 2 proc. Ale to jeszcze nie wszystko. Jedna ze spółdzielni wydawniczych od pewnego czasu stosuje wzór umowy, gdzie zapowiedziana jest wypłata honorarium w trzy miesiące po rozsprzedaży książki. A więc przez trzy miesiące pieniądze autora wspierać mają obrót spółdzielni.

Tego nie bywało nawet przed wojną. A przecież moglibyśmy liczyć, że spółdzielnie będą krzewiły jak najlepsze obyczaje na rynku wydawniczym. Nowy zarząd będzie musiał podjąć natychmiastową walkę o prawa pisarzy i o przywrócenie norm procentowych, które po wielu latach żmudnych zmagań zaliczone przez nas zostały do liczby naszych nienaruszalnych zdobyczy.

Zresztą, nowy Zarząd Główny będzie musiał walczyć na wszystkich odcinkach, nawet jeśli zechce utrzymać chociażby tylko dotychczasowy stan posiadania.

Słuchając mego referatu niejednemu z kolegów może się wydać, że osiągnięcia oddziału łódzkiego zaprzeczają skargom na nieprzychylność władz. Winien tu jestem pewne wyjaśnienie. Wszystko, do czego doszliśmy w Łodzi mamy do zawdzięczenia wyłącznie prezydentowi tego miasta Kazimierzowi Mijalowi, który otacza nas troskliwą opieką i ma prawdziwe zrozumienie dla naszych potrzeb. Może o tym świadczyć chociażby obecny zjazd. Okazał się w naszej praktyce związkowej tym jedynym człowiekiem, który posiada dar dotrzymywania obietnic. Nadto jeśli mam być sprawiedliwy, muszę podnieść tutaj pełen zrozumienia dla pisarzy stosunek Ministra Spraw Zagranicznych.

Z przytoczonego wyżej stanu rzeczy Związek nasz musi wyciągnąć wnioski.

Dlatego też proponuję powzięcie przez Walny Zjazd następujących uchwał:

1.

Walny Zjazd Delegatów wzywa wszystkich członków Związku, zasiadających w Krajowej Radzie Narodowej, aby przy pierwszej sposobności podnieśli sprawę realizacji manifestu P.K.W.N. na odcinku literatury.

2.

W.Z.D. poleca Zarządowi Głównemu, aby wystąpił wobec najwyższych czynników państwowych celem odpowiedniego uregulowania sprawy zaopatrzenia pisarzy, przydziałów, ulg kolejowych itp.

3.

W. Z. D. poleca Zarządowi Głównemu nawiązania rozmów z Centralnym Urzędem Planowania, aby w Trzyletnim Planie Narodowym nie zostały pominięte interesy literatury i pisarzy polskich.

4.

W. Z. D. poleca Zarządowi Głównemu, aby wszczął starania o wprowadzenie w życie projektu Dekretu o Funduszu Twórczości Literackiej.

5.

W. Z. D. poleca Zarządowi Głównemu, aby domagał się w Min. Kultury i Sztuki podwyższenia subwencji dla Związku do takiej wysokości, aby agendy Związku i jego oddziałów mogły wypełniać powierzone im zadania.

6.

W. Z. D. poleca Zarządowi Głównemu, aby wystąpił do odpowiednich władz o znowelizowanie dekretu o podatku dochodowym, a do chwili znowelizowania — o odpowiednią jego interpretację przez Władze Skarbowe.

7.

W. Z. D. poleca Zarządowi Głównemu nawiązanie ściślejszej współpracy z Centralną Komisją Związków Zawodowych.

8.

W. Z. D. poleca Zarządowi Głównemu, aby w porozumieniu z „ZAIKSEM" zajął się jak najszybciej opracowaniem typowej umowy wydawniczej oraz zawarł odpowiednie konwencje ze wszystkimi wydawnictwami wprost, bądź też przez Polskie Towarzystwo Wydawnictw Książek.

*) Referat na II Walnym Zjeździe Delegatów ZZLP.

TADEUSZ HOŁUJ

CYGAN

CZYLI ZABIĆ CZŁOWIEKA

(szkic do powieści oświęcimskiej)

pani Teresie Lasockiej-Estreicherowej

„Łysy" chodził wielkimi krokami po izbie usiłując dowcipkować na temat pogody.

— To niepodobna — rzekł, nagle poważniejąc — na takie indiańskie kawały nie możemy się zgodzić, chłopaki wpadną jak malowani. Powiedziałeś im o tym?

— Powiedziałem — odparł „Robert", patrząc z niepokojem na wysokie, drewniane budki wielkiego łańcucha straży — postenkieta stoi dzień i noc bez przerwy, ale oni nic, tylko, że pójdą i już, a jak im nie damy drogi i punktu to nawieją na własną rękę. Ryzyko jeszcze większe, lecz „Cygan" nie chce czekać, pali mu się grunt pod nogami...

„Cygan" przyszedł zaraz po apelu wraz ze swymi towarzyszami na dziedziniec szpitalny, pomiędzy blokiem 20 a 21, gdzie o tej porze przechadzali się chorzy, oblepiając swymi zeschłymi ciałami kraty ogrodzenia w oczekiwaniu na kolegów, kawałek chleba czy margaryny. Po apelu obóz roił się od pasiaków i czarnych ubrań przekreślonych grubym, czerwonym krzyżem na plecach. Grupy więźniów spacerowały ulicami obozu wśród obojętnych na pozór zdań padały ciche słowa, imiona obcych miast i nazwy dalekich frontów, wywołując bicie ogłuchłego w katordze serca.

„Cygan", krępy, śniady chłopak przechadzał się po pełnym dziedzińcu z Felkiem i Ludkiem czekając na „Łysego", coś za długo marudzącego przy „Robercie". Felek denerwował się coraz bardziej oczekując na przybycie „Łysego", mającego przynieść ostateczne decyzje. Co będzie jednak, jeśli „tamci" nie zgodzą się? Jeśli nie dadzą planu i trasy ucieczki, zwłaszcza, że Birkenau było już zawiadomione i bunkier na „Meksyku" przygotowany.

„Tamci" istotnie zwlekali z decyzją. Po wyjściu z bunkra, gdzie wpadł zeszłego tygodnia skutkiem swej nieostrożności „Cygan" łącznik grupy na obóz w Birkenau, biorący udział zarówno w robocie wojskowej jak i politycznej, postanowił uprzedzić wyrok skazujący go na transport karny do innego obozu i próbować za wszelką cenę ucieczki. Chciał być blisko obozu, nie rozstawać się z towarzyszami, dlatego też umyślił sobie uciec do przyobozowej partyzantki, kierowanej podówczas przez „Kostka", na szlaku Kraków — Oświęcim i pod Brzeszczami, gdzie mieściła się baza organizacji. Tymczasem było rzeczą niepodobną — jak stwierdził „Łysy", aby powiadomić „Kostka" na czas, że „Cygan" ucieka wraz z dwoma chłopcami, dla których przecież trzeba było wszystko przygotować: — plan odebrania ich z wyznaczonego punktu, ubrania i melinę. Oznaczało to, że uciekać muszą „na blind", na ślepo, dotrzeć do umówionego punktu i tam przeczekać kilka nawet dni, aż nie zawiadomi się bazy i patrol nie odbierze ich stamtąd. Grupa posiadała wówczas siedem punktów ucieczkowych rozrzuconych po okolicy obozu. Siedem mapek tkwiło w schowku na Krankenbale, w szpitalu obozowym, siedem dróg prowadziło na wolność. W razie planowanej ucieczki zawiadamiano bazę: „dnia tego i tego, punkt 1,3" — znaczyło to, że określonego dnia trzech towarzyszy przejdzie wielką postenkietę i uda się na punkt numer 1, położony o 300 metrów od mostu na Sole. Tam należy ich szukać owej nocy. Zbliżając się gwizdać cicho umówioną melodię. Na punkcie pierwszym była to piosenka góralska, z którą miano wiele kłopotu, jeśli uciekał nie-Polak. Trudno było uczyć jej cudzoziemca.

„Cygan" zdecydował się na ucieczkę na dzień przed jej terminem mimo, iż wiedział, że trzeba najmniej trzech dni, aby napisać i wysłać odpowiednią depeszę, wręczyć ją łącznikowi obozowemu celem przekazania łączniczce zatrudnionej w „Haus 7", która przenosiła ją następnie poza obóz, oddając łącznikowi z bazy w Brzeszczach. Baza odpowiadała zwykle na drugi dzień, lecz odpowiedź przychodziła na dzień trzeci od wysłania zawiadomienia.

Pozostawało więc jedno: dać „Cyganowi" melinę i trasę ucieczki, zezwolić mu uciec na własną jego odpowiedzialność. Musiałby w takim razie czekać na punkcie najmniej 24 godziny, dopóki patrol nie będzie zawiadomiony i nie odbierze go. Patrol ten mógł natrafić na niego również wcześniej, gdyż według instrukcji, obchodził on wszelkie punkty co trzeci dzień, bez względu czy projektowana była jakaś ucieczka czy nie.

Komplikowało sprawę ostre pogotowie załogi SS, wyrażające się między innymi utrzymywaniem przez 24 godziny posterunków na budkach dużej postenkiety, łańcucha straży opasającego nie tylko właściwy obóz z jego zabudowaniami, ale również wielki obszar zewnętrzny.

Ten fakt właśnie napawał troską i obawą „Łysego" i „Roberta", członków międzynarodowego komitetu obozowego ruchu oporu. Przejście postenkiety „na hałas", to znaczy — jedynie na odwagę licząc, było zbyt wielkim ryzykiem zwłaszcza, że wściekłość SS wywołana powtarzającymi się ucieczkami obostrzyła ich czujność.

Ludek bawiąc się szkaplerzykiem kierował jasne, szeroko otwarte oczy na drzwi bloku 20. Jeszcze wiele spraw pozostało do załatwienia tego wieczoru. Wreszcie nadszedł „Łysy", przywitał się głośno i hałaśliwie z chłopcami podając „Cyganowi" przy uścisku dłoni maleńki kawałek papieru.

— Słuchaj-no, tylko pamiętaj, że idziesz na własną rękę, jak myślisz, przejdziesz?

— Noc ciemna, a zresztą nie zawsze stoją na budkach, może właśnie jutro zejdą, kto wie... Broń dacie?

— Oszalałeś, po co ci broń?

— Przecież nie dam się złapać drugi raz, teraz nie mogę wpaść żywcem. Dajcie mi spluwę, to wam potem odeślę, jak przejdę...

— Nie, mój bracie, nie dostaniesz. Jak by cię złapali bez broni, to może uda ci się jakoś wykręcić sianem, ale jeśli znajdą przy tobie broń, to stryczek pewny, mało, wysypiesz nas przez to, bo dowiedzą się w tym wypadku, że w obozie znajduje się broń.

— Ja nie wsypię!

— Nie trzeba tak mówić. Widzieliśmy mężniejszych od ciebie, większych zuchów, a załamywali się. No, jak chcesz, ale bez broni. Idź teraz do Tadka, on ci powie już resztę... i złam kark bracie...

— Dziękuję, Józek, a co powiedzieć „Kostkowi"?

— Niech uważa na siebie, bo w okolicy gorąco, zresztą pisałem już o tym. I powiedz im „tam" jak wygląda sprawa z moim pójściem, bo zdaje się nie wierzą, że ja tak nie mogą szast, prast, jak ty. No, niech uważa, bo już w obozie kursują niebezpieczne gadki, że „Kostek" grasuje po okolicy z „komunistami". Serwus, acha, niech proszą o broń. Serwus, nie powinni nas razem długo widzieć.

*

„Robert" patrzył przez okno na ciemny pas łańcucha straży i rozpościerającą się poza nią, nad Sołą, zieloną łąkę, na której pasły się spokojnie czerwone w zachodzącym słońcu konie. Chorzy w izbie pełnej odoru gnijących, zaropiałych ciał śpiewali:

„— mamo io quiero un novio
que sea hermoso y tenga un baston..."

To Grecy wyli kastylijskie słowa w okna wychodzące na blok 10, gdzie ich żony, córki czy siostry przytulały pobladłe twarze do siatek okiennych, wypatrując czarnymi, pełnymi łez oczyma swych bliskich, dopiero kilka dni temu operowanych. Teraz jądra ich wędrowały w wysokich zielonych słojach do Berlina.

Tu w kącie, oddzielonym od chorych kilkoma szafkami, spotkał się „Robert" z „Cyganem", Ludkiem i Felkiem. Na biurku leżała tabela stanu chorych pokryta oczyszczoną błoną fotograficzną i oblepiona po bokach leukoplastem. Odkleiwszy leuko wyciągnął spod tabeli ukryte płasko pieniądze.

— Szkoda czasu na długie gadanie, wiecie czym to pachnie, jeśli wpadniecie. Jutro nie pójdzie meldunek do bazy, dopiero pojutrze rano, wcześniej się nie da. Wyjdziecie jutro z komandem, kapo załatwiony?

— Tak, o niczym nie wie —

— To dobrze. Uważajcie tylko, by wracając do meliny nikt was nie widział. Ubrań wam nie wykombinuje nikt, czapki macie.

— Ferszalung też.... o to mniejsza...

— Jedzenie mają, — powiedział malutki, czarny Felek obejmujący służbę po „Cyganie", tylko jak będzie z postenkietą, nie da się bliżej postenkiety...?

— Wykluczone. Kiedy wyjdziecie na postenkietę...?

— Chciałbym od razu w nocy, bo jak postenkieta stoi, to i tak wszystko jedno, nie ma na co czekać.

„Robert" odradzał. Po alarmie, jeśli spostrzegą ich ucieczkę, postenkieta będzie ostrożniejsza, gdyż będą przypuszczać, że jej przecież w dzień nie przeszli, tylko ukryli się w jej obrębie. Powinni poczekać w melinie i wyjść w drugą lub dopiero trzecią noc.

„Robert" zawahał się patrząc na spokojne młodzieńcze twarze towarzyszy. Mieli w kieszeni plan, jeśli jednak nie uda się powiadomić na czas bazy i nikt nie będzie na nich czekał? Wyobrażał sobie ich lęk, kiedy leżąc przyciśnięci do ziemi w szumie krzewów łowić będą każdy zbliżający się szmer, przez długie godziny czekania, może daremnego.

— Niech będzie — tego zwykle nie robimy, ale podam wam adres prywatny. Nie, nie wolno notować. We wsi X, dom czerwony, szósty przy drodze. Zbliżyć się niepostrzeżenie i zapytać: czy można dostać tu herbaty — to hasło. Odpowiedzieć mają: nie, bo krowa się ocieliła. To będzie punkt na wypadek, gdybyście się musieli rozproszyć, lub nagle zmienić wasz plan, nie mogąc wejść na trasę. Cóż, różnie się przytrafić może, nie?

„Cygan" powtórzył zmatowiałym głosem formułkę i adres, „Robert" klepnął go w ramię i pożegnał uściskiem dłoni. Felek wyskoczył na obóz załatwić jeszcze kilka sprawunków, na sali wywoływano właśnie nazwiska chorych, znosząc ich do sali operacyjnej, z bloku 10 zabrzmiał niski, gardłowy śpiew. [illegible] „Roberta" drżały, gdy zalepiał nowym leukoplastem tablicę stanu. Ileż to razy spotykał się z tak wielką przestrzenią czyhającą za drutami, odcyfrowując szyfry i zestawiając z liczb i nazwisk raporty dla ludzi „tamtych", siedzących gdzieś przy radiostacji, wystukujących depesze, lub błądzących lasami, pokrytymi nocą, ze stenami i pepeszami.

Auta przywoziły przed szpital obozowy, lub przed blok 11, poranionych cywilów i wywoziły ich martwych. Partyzanci z AK i AL splatali się uściskiem nagich, trupich ramion, na ciężarówkach jadących do krematorium.

Oczekiwanie nieuchronnego starcia, silniejsze było jednak od wołania: uciekać! a może to posterunek w walce nie pozwalał marzyć o ucieczce, opuszczać w decydującym momencie obóz, grupę, może to miękka, szara plastelina rozpakowywana nocą z angielskich papierów, może paczki trucizn lub skrzynia granatów ukradzio-

MIECZYSŁAW JASTRUN

WIE

Ballada o puszczy Świętokrzyskiej

Twarze spodełba, jakby wyjrzały spod hełmu
Żelaznego najeźdźcy, w oczach — nocy bielmo.

Szeleszczą po kolana brodząc w zeschłych zielskach.
Szkaplerz lub krzyż na szyi, w ręku broń angielska.

Pod pachą ciepłem ciała ogrzana pepesza
Jak żmija utuczona ołowiem się zwiesza.

Mundur polskich żołnierzy, w piersi serca wrogów,
Wiatr nocny idzie z nimi, przyjaciel rozłogów.

Już druga jesień polska, do dawnych jesieni
Niepodobna, metalem na liściach się mieni.

Tej samej nocy, wyższej niż tu w lasach noce,
W białe skały Albionu gniew morza łomoce.

Od skał Szkocji odbiły się ciężkie okręty.
W imperium nie zachodzą nieba firmamenty.

Poszli za morza cudze, w koloniach malarii
Żarci przez białe czerwie słońca będą marli.

O skały Szkocji morze bryzgami uderza,
Tu — jesień, i zwierz wkrótce zaszeleszcze w leżach.

Jeleń puszczy, na złotym spływający krzyżu,
Zwraca głowę. Krzyk ludzki usłyszał w pobliżu.

Puszcza królewska milczy, bo w jej nocnym szumie
Są głosy, których żaden człowiek nie zrozumie.

Przed odlotem

Noc przed odlotem przestrzeń otwiera daleką
Której nie ma na mapie: gwiazdę pod powieką.

Obracany z planetą wokół słońca, ruchu
Ziemi nie czując teraz mam poczuć, że lecę.
I wszystkim, co w dotyku moim, w oku, w słuchu
Było umiejscowione, jak gwiazdą zaświecę.

Jesienne liście, które kruszy krok przechodnia
Szeleszczą bliżej serca i nie tak jak co dnia.

O tej godzinie jestem tu gdzie już mnie nie ma,
O tej godzinie jestem gdzie nie ma mnie jeszcze,
Wszystko, abym doświadczył: okrągła jest ziemia,
Morze u skał, jak jesień u stóp gór szeleszcze.

Wstrzymałem wodę, płynąć rozkazałem brzegom,
Wybrałem miarę wiersza dla snu żarliwego.

na z „Unionu" przygważdżały go do miejsca?

Wieczorem, po gongu, siedząc w malutkiej piwnicy na 4 bloku uświadomił sobie, że należy tu, do nich, do „Wiktora" kiwającego wielką, blond głową nad planem obozu, do „Adama", którego płonące, czarne oczy śledziły ruchy palców na mapie, do „Łysego" piszącego teraz na trzecim piętrze swego łóżka, na „trójce" bloku 20, tysiączny meldunek do tych wszystkich, którzy w nieograniczonej ufności w zwycięstwo szli do pracy, przenosili materiały wybuchowe, listy, lekarstwa, trucizny i broń, organizowali grupy i komórki, ginąc tak prosto i godnie, jak ginąć może tylko człowieka, którego człowieczeństwo ratuje walka.

W nocy nie mógł zasnąć. Jedno gorzkie wspomnienie nachodziło go ustawicznie, osamotniając go i dręcząc. Zdawało mu się czasami, że do walki pchnęła go rozpacz utraty, gorzki smak traconej młodości, ale natychmiast uświadamiał sobie, że tak nie było, że walka była o wiele wcześniejsza niż rozpacz. To go uspakajało, mógł myśleć trzeźwo o gotującej się ucieczce, powtarzając sobie setki razy trasę „Cygana" nigdy nie widzianą, a tak dobrze znaną, majacząc wreszcie we śnie o bunkrze podziemnym, wykopanym pod jednym z bloków „Meksyku" skąd, ukrywszy się tam w czasie pracy, uciekano po trzech dniach, w trakcie których, jeszcze do niedawna, obowiązywało pogotowie SS. Po trzech nocach czuwania straże schodziły z budek, tylko mała postenkieta, okalająca zabudowania głównego obozu, pilnowała reflektorami i karabinami maszynowymi nocy pełnej udręki.

Dlaczego „Cygan" uciekał? Dlaczego uciekali z nim jego towarzysze? Czy z lęku przed transportem do innego obozu. Nikt tego nie wypowiadał głośno, nikt tego nie wyjawiał, ale przecież wszyscy rozumieli: chcieli być blisko obozu, pomagać mu, nie chcieli go opuszczać, nie chcieli wychodzić z walki.

Od gongu porannego do obiadu czas dłużył się. „Łysy" i „Robert" spotykali się klika razy pełni niepokoju, przeżywając wiele tygodni w ciągu tych kilku godzin. Nie słyszeli syreny alarmowej, oznajmiającej zwykle ucieczkę. Zawyła dopiero wieczorem, kiedy „Robert" przygotowywał apel.

— O! znowu ktoś uciekł — powiedział komendant sali, kulawy Herman, patrząc na niego porozumiewawczo.

Czyżby wiedział? Orkiestra grała już marsza, pierwsze kolumny wkraczały do obozu, defilując pod napisem: Arbeit macht frei...

— No, — powiedział „Łysy", śmiejąc się dziecinnie — zobaczymy, co będzie dalej.

Apel trwał bardzo długo, sprawdzano jeszcze raz stany: uciekło sześciu ludzi...

Na szczupłej, bladej twarzy „Łysego" malowało się zdumienie, zaczerwienione oczy kryły się pod sinymi powiekami...

Felek przybiegł zaraz po apelu przynosząc wiadomość, że prócz „Cygana", Ludka i Jurka, którzy wleźli szczęśliwie do meliny, uciekło jeszcze z innego komanda trzech... „stare numery".

— Uf, cholera — będzie galimatias — wykrztusił „Łysy", — trzeba napisać, by uważali, jeśli się na nich napatoczą. Poczekajmy, co będzie dalej. Jutro pójdzie meldunek...

Wieczór komunikaty radiowe, przyniesione z komendantury nie były najlepsze, Bogdan donosił, że dwóch Słowaków z jego grupy chce uciekać, „Wiktor" wzywał na zebranie „Kopfu". Po raz pierwszy był na nim obecny „Szasza".

— Towarzysz major Kutin — przedstawił „Wiktor" — proponuję go na grupę techniczną, trzeba mu zrobić kontakt z Łaptasiem. A propos — jak tam?

— Weszli spokojnie, zobaczymy.

— Jesteś pewien, że nie wysypią, jak ich złapią, zbytnio ostrożni nie byliście w tej historii, a oni jeszcze mniej. Rudi powiedział mi, że na jego komandzie mówią zbyt głośno o ucieczce. Ładna konspiracja.

Istotnie zbyt lekkomyślnie i gorączkowo — pomyślał „Robert i ja mu dałem jeszcze adres. Gdyby sypał — leżelibyśmy wszyscy.

Wiedział, że to nielojalnie, ale nie przyznał się do dania adresu „Cyganowi", co powiększyło jego niepokój. Liczył jeszcze na jakiś nadzwyczajny wypadek, który spowoduje ściągnięcie postenkiety, tliła w nim wątlutka iskierka nadziei; — może zejdą z budek. Myśląc o tym zapomniał o koniecznej ostrożności na drodze powrotnej do swego bloku, szedł główną drogą, miast obejść bloki, zamyślony nie spostrzegł SS-mana idącego za nim krok w krok. Przy drzwiach bloku SS-man zatrzymał go.

— Skąd idziesz?

— Ja ze szrajbsztuby, odnosiłem karty na blok...

— Co? ze szrajbsztuby? — Światło latarki SS-mana ślizgało się po pasiaku spoczywając na ramieniu, na którym naszyty był napis: H. K. B. — Häftlings Krankenbau. Światło zgasło, uspokojony ss-man odszedł, pogwizdując, do pralni.

Wczesną nocą zajęczały syreny alarmowe i zgasły okna bloków. Wygaszono światła na drutach, ciemna noc ogarnęła obóz. Szyby drżały dźwięcznie, kiedy horyzont połyskiwał szeroko jak przed burzą. Daleko gdzieś artyleria przeciwlotnicza ostrzeliwała angielskie eskadry. Milczące niebo zanosiło się teraz przeraźliwym chichotem syren, pojawiały się na ułamek sekundy setki jasnych gwiazd szrapneli, rozpryskujących się wysoko. A oni tam w ziemi... — pomyślał „Robert"...

Nalot trwał. Równocześnie z wysokim jednostajnym dźwiękiem odwołującym alarm lotniczy pacnęło kilka strzałów i zaterkotał karabin maszynowy. „Robert" doskoczył do okna nadsłuchując. Ktoś położył mu dłoń na ramieniu.

— Słyszałeś? To w Birkenau — odezwał się „Łysy" — Tylko spokojnie, niczemu już nie zaradzisz. Masz, pal...

Znowu zagrał kaem.

*

Przed wymarszem komand przybiegł po polecenia Felek. I on słyszał strzały i on drżał o los swych najlepszych przyjaciół, lecz właśnie dzisiaj nie mógł pójść do Birkenau, gdyż po ucieczce „Cygana" sprawdzano skrupulatnie numery w komandach. Trzeba było wymyśleć inną możliwość.

O 11 godzinie „Łysy" zawołał „Roberta". Były już wiadomości.

— Trzech zabitych — mówił spokojnie, skręcając papierosa. Obaj pomyśleli to samo: uciekło w grupie „Cygana" trzech i trzech osobno, kto z nich przedostał się na drugą stronę, a kto padł? Przechodzili nocą, w czasie alarmu, posty spostrzegli ich i otworzyli ogień, gdyż w czasie alarmu postenkieta jest podwójnie wzmocniona, — pomiędzy budkami stoją dodatkowe posterunki z bronią, skierowaną na obóz — tłumaczył „Łysy" — trzy trupy leżą na drodze, przy samej postenkiecie, ale łącznik nie znał „Cygana", ani tamtych, więc nie wie kto zabity...

Znowu trzeba było czekać, tym razem do wieczora, do powrotu komand. Chłopak z grupy łączności, młody Czech, przychodził jeszcze dwa razy do obozu, lecz nie umiał dać bliższych wyjaśnień.

Na godzinę przed wieczornym apelem Niemcy przywieźli zwłoki zabitych i ułożyli pod ścianą bloku 24, obok którego przechodziły wszystkie komanda, gdzie mieściła się kancelaria obozu: Obozowy burdel. „Robert" porwał teczkę z meldunkami i pobiegł na blok 24. Przed zabitymi stała już grupka więźniów i kilku ss-manów. Załamało się coś w „Robercie". Leżący na chodniku Ludek patrzał szklistymi źrenicami na niego, na ustach i na brodzie czerniała zakrzepła krew, na nagim torsie nie było już szkaplerzyka. Obok z pokrwawioną twarzą przyciskał sine policzki do bruku nieznajomy „Robertowi" wysoki więzień, dalej, oparty o ścianę burdelu siedział martwy, szczupły chłopak, głowę opuściwszy na piersi jakgdyby śpiąc.

„Cygana" nie było między nimi.

„Auf der Flucht erschossen"... odczytywał „Robert" z listy przyniesionej do szpitala: „numer sześćset..."

To on. To ów Jurek. Dwóch towarzyszy zginęło więc i jeden z poza grupy. Trzech przeszło, „Cygan" i dwóch nieznajomych. „Łysy" wyraził jednak wątpliwość czy „Cygan" istotnie przeszedł. Jeśli szli razem, czyż miał lepsze szanse niż inni, by przejść pod ogniem postenkietę. Jeśli zaś nie przeszedł... czy powrócił do meliny?

Felek, jedyny z łączników, mógł to sprawdzić. Felek długo stał przed zwłokami towarzyszy nim zgłosił się po polecenia. Twarz miał szarą, jak popiół, źrenice rozszerzone. Bał się.

— Słuchajcie, ranyboskie — myślcie co chcecie, ale jak on jest ranny? Przecież po śladach, po krwi znajdą go. No, i jak on teraz przejdzie...

„Łysy" spojrzał na Felka z wyrazem zniecierpliwienia.

— Jak go znajdziesz w bunkrze, to tylko nie rozgadaj wszystkim o tym, niech gadają, że przeszedł...

Nie przeszedł jednak ani tamtej, ani tej nocy. Rano Felek, obstawiony przez birkenauczyków, wlazł do bunkra pukając w umówiony sposób przed wyciągnięciem desek zakrywających wejście. W dużej jamie ziemnej leżał „Cygan" sycząc z bólu. Miał postrzał brzucha, szczęściem kula przeszła wpierw trzykrotnie złożony pasek i klamrę nim przeszyła skórę. Rana była powierzchowna, lecz „Cygan" wił się w gorączce tracąc co chwilę przytomność. Nie wiele mógł mówić.

— „Tamci"...? — wyszeptał oblizując spękane wargi...

Felek nie odpowiadał. — Umarli... — powiedział „Cygan" wydając cichy jęk. Umarli... Dawid gwizdał już na zewnątrz sygnał ostrzegawczy. Trzeba było uciekać z meliny.

— Dawid dostarczy ci opatrunków i jedzenia. Przyjdę jutro, Tadek, tylko się trzymaj...

*

„Robert" oczekiwał powrotu Felka przy bramie. Wiedział już, że Ludka znaleziono na postenkiecie z nożem w zaciśniętej dłoni. Tak go przygwoździła do ziemi seria z kaemu. Rzucił się widocznie wprost na posterunek. Długi, kuchenny nóż przyniósł do obozu Jasiek. Esmani zapomnieli go zabrać — kłamał. Oczywiście wykradł im ten nóż. Wiadomość o ranieniu „Cygana" i o jego gorączce przeraziła „Roberta", tylko „Łysy" ze stoickim spokojem, z takim samym, z jakim nie dawno oczekiwał na 11 bloku śmierci za swoją ucieczkę, przyjmował wszystkie wiadomości. Palił tylko więcej i stawał się więcej opryskliwy.

Więc „Cygan" jest w bunkrze na „Meksyku", podczas gdy obie szrajbsztuby wystukały już meldunek o jego ucieczce.

Oficjalnie należał już do wolnego świata, patrole przeszukały w promieniu kilkunastu kilometrów okolicę, listy gończe opuściły Politische Abteilung. „Cygan" jest pod ziemią w gorączce. A jeśli nie wytrzyma napięcia nerwów lub bólu, jeśli się zdradzi krzykiem, czy nierozważnym wyjściem z bunkra, co wtedy? Jeśli go złapią, czy osłabiony gorączką nie załamie się, nie sypnie? „Robert" przebiegał myślą kontakty „Cygana" a było ich sporo, gdyż jako łącznik stykał się z wieloma więźniami i więźniarkami.

Łańcuchowa wsypa, w dodatku adres... Adres.

Jeśli zaś będzie nawet siedział spokojnie i nie zdradzi się, a kontakt przez Dawida i Felka da się utrzymać, opatrzeć go, wyleczyć, nakarmić... to co dalej? Czy będzie miał na tyle odwagi i szczęścia, by ponownie wyruszyć na postenkietę? Na oznaczony w meldunku do bazy termin nie zastaną go na punkcie, pomyślą, że zrezygnował z ucieczki, podczas gdy on żyć będzie jak duch tego obozu, w jego zakopany ziemi, nad nim stąpać będą nogi tysiąca ofiar, jak długo, jak długo?!

O zabitych już nie myślał, o zabitych nie myśli się długo w obozie koncentracyjnym, nie ma miejsca dla zmarłych, tam gdzie chodzi o życie dziesiątek tysięcy.

Lęk wypierał stopniowo współczucie. Lęk przed zawaleniem się całej roboty silniejszy był niż współczucie nad człowiekiem siedzącym teraz w ciemnej norze pola obozowego „Meksyk", niezamieszkałego odcinka miasta śmierci. Jeśliby teraz dostał oddział polityczny w swe ręce nitkę spisku, doszedłby do kłębka i Höss triumfowałby znowu iż on miał rację, gdy pisał w raporcie: „es gibt im Lager eine Wiederstand bewegung...", a nie ci, którzy przerażeni kontaktem tegoż Wiederstand bewegung ze światem, nakazywali „złagodzenie kursu" „aus wichtigen staatspolitischen Grunden".

Znajomi mówili poufale: — wiesz, ten „dachdeker", co uciekł, miał melinę pod którymś blokiem na Birkenau, ba, — wymieniali nawet rzekome numery tego bloku. Tajemnica przestawała być tajemnicą, sytuacja stawała się z każdą godziną niebezpieczniejsza, Felek był bliski płaczu z wściekłości, podawał najdziksze propozycje uwolnienia „Cygana" z bunkra na „Meksyku". Major Kutin, w czasie nocnego omawiania sytuacji politycznej patrzył z

R S Z E

Głosy

Jak wieża stu języków rozbrzmiewa szkatuła,
Dzwoni brzękiem orkiestry obojętnie czuła
Na burzę fal elektrycznych.

Pod lampą piszesz słowa, co może wnet zwiędną,
Zacinasz się jak pióro, by w mewę oszczędną
Zamknąć ten chór nieantyczny.

Jaka epoka? Wojna która? Wiednie chwila,
Jak muszla ucha wnętrze szelestów rozchyla,
Gdy miasta się schodzą w pokoju.

Ten kongres głosów całej przyszłości urąga,
Taki szum słychać było w rzymskich wodociągach,
Gdy szli barbarzyńcy do boju.

Zamyślony do końca nad sprawami ziemi,
Nad zbrodnią i szaleństwem, co się tutaj plenią,
Nie dożyj ostatniej z bitew!

Dante chłostałby gniewem piekła tych mocarzy,
Osiwiałych zbrodniami, on, co w cieniu twarzy
Miał litość dla sodomitów.

Nim ludzie nowi wejdą w błyszczące powietrze,
Nim ślady twe na ziemi rzeka piasku zetrze
Z wiecznie zmywanej mielizny.

Nie obłaskawiaj gniewu! nie spieszczaj pogardy!
Niech gorycz przesączają w słowa twoje wargi,
Lekarstwo dla ziemskiej ojczyzny.

*
* *

Czuły jak płatków śnieżnych dotyk,
I obojętny jak śnieg wiosną,
Nazbyt zawiły dla prostoty,
Ale mówiący mową prostą.
Podobny w tym do dziewcząt młodych,
Które mój gorzki los splatały
Szorstko — jak w supły. Rąk ich dotyk
Wokół mnie drżał niedoskonały.

Jak kości w obu ramion stawach
Spętany w ruchu ciągłą żądzą
Sprawiedliwości, gdym powstawał
Przeciwko tym, co zbrodnią rządzą,
Kiedym rozrzutnie życie trwonił,
Jakbym gołymi chciał rękami
Pod arsenały ciężkiej broni
Podłożyć serce — głos mój zamilkł,

I wtedy los mój był podobny
Do młodych dziewcząt losów, które
Do ust na chwilę przykładałem
Jak szklankę wody pod upałem
Wiosennych dni, prażących chodnik.
Na pamięć znałem ich naturę,
Gdy na ich czułą klawiaturę
Rzucałem dziesięć palców głodnych.

Nieraz jak uczniak trzeciej klasy
Drżałem w wiosennym słodkim cieniu,
Nieraz w pogardzie, w zaślepieniu
Kiedym się zaciął jak zawiasy
Drzwi — cały byłem przyszłym czasem,
Aż odnalazłem się w spojrzeniu
Tej, w której płacz ojczyzny całej
Wzruszone oczy me ujrzały.

politowaniem na „Roberta", „Łysy" obstawał przy swoim: „Cygan" musi wcześniej czy później przejść postenkietę. Trzeba było odwołać wyznaczony już termin i powiadomić o wypadku „Kostka".

Ciała towarzyszy „Cygana" przestały już istnieć spalone na sypki popiół. Nie zobaczą już nigdy Warszawy, nie uścisną rewolwerów, nie pomszczą nikogo. Po prostu nie ma ich więcej...

Felek biegał co dzień do Birkenau zanosząc jedzenie, opatrunki i lekarstwa Dawidowi, który ukrywał je w starannie wybranym i wiadomym „Cyganowi" miejscu. W nocy „Cygan" wyłaził z nory i zabierał przygotowane dla siebie paczki. Trwało kilka dni nim „Cygan" wylizał się z rany i pozbył gorączki. Wówczas opadły go podobne do Robertowych — myśli. Co będzie dalej? Jak wydostać się stąd i kiedy? Jeśli go tym razem złapią... nie, to nie do pomyślenia. Przecież myślą, że już dawno jest poza obrębem obozu, jeśli go złapią, rzecz prosta, pierwszym pytaniem będzie, gdzie się ukrywał. Jedno słowo wbijało mu się uporczywie w mózg: r o z w a ł k a... Zabiją go jeśli nie wskaże schronu, nie uwierzą żadnym tłumaczeniom. A kto ten schron zbudował, a kto mu go wskazał. Nie! To były pytania śmierci. Zostać i czekać w bunkrze pomyślniejszej okazji? Jakiej? Nawet jeśli się nadarzy, czy zdoła powiadomić towarzyszy w obozie, by skontaktowali się z bazą? Lecz ma przecież adres, adres... To go cieszyło i jednocześnie napawało niewytłumaczonym lękiem, czuł że nie powinien znać tego adresu. Głowa bolała od tych myśli, mdliło od zaduchu. Załatwił się w kącie nory, przegryzł kawałek chleba, probując zasnąć. Przed snem wydawało mu się, że znalazł wyjście: oczywiście, powie Felkowi, by wystarali się o auto, auto zajedzie na „Meksyk" z materiałami budowlanymi ,on zaś ukryje się w aucie, i gotowe. Wywiozą go poza postenkietę, potem tylko walić prosto na adres...

Obudził się spoglądając na zegarek. Była druga godzina rano. Nadsłuchując uważnie otwierał klapę bunkra. O kilkanaście metrów od bloku, pod którym mieścił się bunkier, będący wspólną meliną wielu grup, kładł swoje paczki Dawid. Tym razem „Cygan" na próżno szukał — paczki nie było. Rozdrażniony i głodny wrócił do bunkra klnąc na całą organizację. Czekał do dwunastej na Felka. Też daremnie. Ślepą złość wzmagał jeszcze głód i pragnienie. Wyszedł szybko z bunkra i pewnym krokiem skierował się w stronę obozu. Był jasny, piękny dzień, więźniowie pracowali pół-nadzy, podobni wyrzezanym z ciemnego drzewa posążkom świętych. Umęczone i śmierci przeznaczone ciała w czarnych, postrzępionych spodniach zdjętych z innych umarłych...

Vorarbeiter Cyprian znał dobrze „Cygana", to też zobaczywszy go usiadł przerażony na ziemi, siłą powstrzymując kłapanie zębów. Był-że to „Cygan", czy tylko ktoś podobny?!

„Cygan" szedł do znajomych na pobliski blok, nie bacząc na to, że kilku więźniów ogląda się za nim, żywo gestykulując. Poznali go. Przychodził tu dawniej tak często, iż znało go pół obozu, a przynajmniej wszyscy starsi więźniowie, nim więc dotarł do bloku już po Birkenau z ust do ust podawano sobie wiadomość: C y g a n n i e u c i e k ł, C y g a n ż y j e n a B i r k e n a u!

Znajomy sztubowy, do którego zdążał „Cygan" usłyszał tę wieść wcześniej aniżeli jego głos.

— Człowieku, oszalałeś — w dzień chodzić po obozie, przyjdź w nocy, nie tak —

Gorzej było wracać. Klucząc między blokami dotarł do bunkra, jak mu się zdawało, przez nikogo nie zauważony. Dopiero zanurzywszy się w ziemi uprzytomnił sobie, co zrobił. Odniechciało mu się nagle jeść i pić...

Wiadomość o ukazaniu się „Cygana" w Birkenau dotarła do „Roberta" i „Łysego" tego samego dnia wieczorem oburzając ich do głębi. „Łysy" liczył na solidarność więźniarską, „Robert" sceptycznie uśmiechał się. — Ja wiem — mówił — co ten chłopak przeżywa tam pod ziemią i rozumiem go. Jabym oszalał, tyle dni... ale zrozum i tamtych, resztę, tych, co go rozpoznali... to nie nasi ludzie przecież, nie mamy sposobu nakłonić ich do milczenia, będą paplać na lewo i prawo, aż dowiedzą się esmani.

— No, to co, mamy się powiesić, u djabła, czy jak — odburknął przyjaciel. — Trzeba być przygotowanym na wszystko i tyle... Niech Felek idzie jutro koniecznie i porozumie się z Dawidem. „Cygan" musi mieć jedzenie na parę dni, daj Felkowi pieniądze.

Nie łatwo było dostać się Felkowi do bunkra, gdyż jakieś nowe komando kopało w pobliżu rów. — Coś ty narobił najlepszego — powiedział uściskawszy „Cygana". Cały lager huczy, żeś jest w lagrze.

— Wiesz, Felek, ja już mam dosyć siedzenia w tej no[illegible] ja już nie mogę dłużej, powiedz to „im". Przecież mogą wykombinować auto i podstawić na „Meksyk". Wsiądę i wyjadę pod jakimiś deskami, albo w rurach, o, w rurach, widzisz, nawet lepiej. Jak nie, to psiakrew wyjdę i zgłoszę się na Blokführerstube, niech robią ze mną co chcą.

— Jezu Maria, „Cygan" co ty wygadujesz — wyjąkał Felek — wysypałbyś całą robotę, wszystko, ty musisz nawiać stąd i to szybko.

— A może się wojna skończy do tego czasu, co? Jak myślisz? Nie mówili „tam"? Ty, słuchaj, jakby tak zamienić numer, co? Jakiego umrzyka wziąć numer i wyjść na lager? No, tak, swoją drogą co z trupem, nie będzie się zgadzało.

— Nawet, „Cygan", nawet, to jak będzie apel „ein plus", będą sprawdzać i wpadną na ciebie.

— Gdyby Józek i „tamci" chcieli, to by mnie stąd wydostali. Powiedz im z tym autem.

Felek przyszedł do „Łysego" zrozpaczony. Projekt z autem okazał się całkowicie nierealny. Przerzucano w myślach wszelkie udane i nieudane ucieczki, obliczano możliwości zamiany numerów, aż wreszcie zniecierpliwiony Felek zaproponował krótko:

— To niech zostanie jak jest, a i ja go w bunkrze zastąpię. Mogę siedzieć dłużej od niego, a wy go ulokujcie na krankenbale.

Od Dawida przyszedł łącznik, z zakłopotaniem opowiadając o trudnościach łączności z „Cyganem" i zasięgając opinii „Roberta" co do dalszych względem „Cygana" kroków.

— On już drugi tydzień siedzi w tej dziurze i on tak może jeszcze rok, cudu nie będzie. Ja ciebie chciałem spytać, co „oni" postanowili, co chcą z nim robić? Masz chyba lepszy dostęp do centrali, niż my z Birkenau, to się popytaj, ale delikątnie, niech nie myślą, że ktoś się boi albo im co wyrzuca, nie... chociaż dla nas bardzo niebezpiecznie chodzić na „Meksyk". Ale jak „oni" powiedzą żeby trzymać, to go będziemy trzymać jak długo się da...

Dwa tygodnie minęły. Już chyba nie było takiego więźnia politycznego w Birkenau, który by nie wiedział o ukrywaniu się „Cygana". Prawda, nie wiedzieli g d z i e się ukrywa, lecz gdyby ktoś systematycznie śledził przez te dwa tygodnie na przykład Felka, lub ludzi Dawida? A przypadek wreszcie!

„Łysy", po otrzymaniu nominacji na teren obozu z ramienia AK i Delegatury, usiłował uspokoić teren przyobozowy, na którym wrzało przeciwko „Kostkowi", aż echa tego wrzenia przychodziły do obozu. Nazwisko „Łysego" i „Roberta" powtarzano zbyt często i prowokacyjnie w niektórych ośrodkach, rzekomo pod pozorem zwalczania komunizmu. Jak groźne mogło to być, oceniono dopiero w trzecim tygodniu pobytu „Cygana" w melinie, kiedy w niewiadomy sposób poczęto łączyć jego ukrywanie się, z więźniami z obozowego ruchu oporu. Ostatni transport z obozu kosztował wszystkich dużo nerwów i trudu, by wyciągnąć z niego potrzebnych towarzyszy. RWO zgodziła się w tym czasie z koncepcją organizowania grup czysto żydowskich, co na wypadek całkowitej ewakuacji obozu z „elementów aryjskich" było oczywistą, niestety, nie dla wszystkich, koniecznością. W związku z tą decyzją „Robert" sprawdzał dane, dostarczane przez Kutina, dotyczące żydowskich grup na nocnych zmianach. Stałe podniecenie, wywołane nierozwiązalnym problemem „Cygana", zniechęcało do jakiejkolwiek roboty, wyczekiwanie na codzienne meldunki z Birkenau obezwładniało zupełnie.

Mały Felek czekał już tylko na cud, gdyż cud tylko mógł by sprawić, by gromada więźniów rozprawiająca głośno o ukrywaniu się „Cygana" nie przeniosła tej wiadomości do baraku Abteilung 2, gdyż cudem byłoby wytrwanie „Cygana" w melinie, gdyż wreszcie tylko cud mógł go stamtąd uwolnić.

„Łysy" pozostawił sprawę biegowi wypadków, nie widział absolutnie żadnego wyjścia z matni niż ponowną próbę ucieczki. Na naradzie postanowiono dać „Cyganowi" zwykłą porcję trucizny taką, jaką nosili wszyscy prawie funkcyjni grupy, aby w razie nie powiedzenia się ponownej próby ucieczki, nie dał się wziąć żywcem.

Felek zaniósł mu truciznę, namawiając do przejścia postenkiety, ale „Cygan", zmieniony nie do poznania, żyjący w niezwykłej gorączce, potakiwał pół przytomnie głową nie wiele rozumiejąc ze słów towarzysza. Siły go opuszczały.

Trzeba go będzie ratować za wszelką cenę... przed hańbą — myślał „Robert" — gdyż, jeśli siły go rzeczywiście i całkowicie już opuszczą, kiedy sił nie stanie nawet na wzbudzenie w sobie nienawiści do Niemców, to co trzymać go będzie pod ziemią, będzie gotów... Żywy — może opuścić kryjówkę tylko w kierunku postenkiety, innej rady nie ma...

Po czterech tygodniach męczącego oczekiwania „Cygan" dał znać, że pójdzie, prosząc o nowy punkt, możliwie najbliżej postenkiety, gdyż nie będzie miał dosyć siły, by przebyć, po przejściu jej, jeszcze długą trasę. Na dokładnej mapie okolicy obozu kilku ludzi sprawdzało odległości, Felek pełen poświęcenia, przychodził kilkakroć po decyzję, napotykając na przeczącą odpowiedź.

— Jeżeli powiemy „Cyganowi", że nie można go odebrać zaraz pod postenkietą, to on w ogóle nie wyjdzie.

— Ależ ludzie „Kostka" nie mogą podejść pod same budki, po pierwsze okolica jest obstawiona, po drugie w tym miejscu nie ma żadnego dostępu. Można najwyżej prosić, by wypuścili z punktu ruchomy posterunek — odpowiadał „Łysy".

— Myślę, że jeśli „Cygan" znajdzie się już po za postenkietą, to sam nie zechce narażać się przez czekanie i pójdzie dalej...

Postanowiono zatem zawiadomić bazę, że „Cygan" wyjdzie za trzy dni nocą w miejscu oznaczonym czerwonym krzyżykiem na wycinku planu, jaki powędrował ukryty w świecy drogą na Haus 7. Powzięcie tej decyzji uspokoiło znacznie czołówkę grupy, lubiano tu rzeczy stanowcze i pewne, lękano się każdego oczekiwania, niepewnych nadziei, rozprzęgających robotę. Najbardziej uradowanym był jednak Feluś, współczujący najserdeczniej „Cyganowi", którego był przyjacielem w ciężkich latach Oświęcimia. Teraz dopiero opowiedział nam zeznanie „Cygana" o pierwszej ucieczce.

Siedzieli we trzech w bunkrze drżąc cały czas od usłyszenia syreny alarmowej, oznajmiającej ich ucieczkę, aż do nocy. Postanowili nie odczekiwać terminu i tak też zrobili. Ledwo wyszli z bunkra zawyły syreny i pogasły światła. Uznali to za okoliczność pomyślną. Padli na ziemię czołgając się w kierunku postenkiety. Odgłosy nalotu już milkły, za chwilę mogło być odwołanie i zapalenie świateł, śpieszyli się. Byli już o sto kroków od budek, kiedy zajęczały ponownie syreny. Chcieli teraz wykorzystać czas, kiedy było jeszcze ciemno. Czołgali się obok kupy cegieł, jedna z nich potrącona łokciem upadła, na łoskot odpowiedziało światło reflektora macające w zupełnie innym kierunku. Zerwali się i pędem ruszyli na ogrodzenie.

O kilka kroków od granicy obozu lunęło na nich światło i seria z broni maszynowej. „Cygan" ranny potknął się i wywrócił, biegnący obok niego Jurek padł po kilku krokach, Ludek biegł jeszcze wciąż naprzód, dopóki ponowna seria nie zachwiała nim. W tej samej chwili, o kilkaset kroków dalej, pacnęły strzały rewolwerowe, reflektor skierował w tamtym kierunku swe światło. „Cygan" wycofywał się na łokciach i kolanach z powrotem do bunkra...

Kiedy Felek poszedł do Birkenau, „Robert" położył się na łóżku w sali chorych zasypiając od razu mimo obrzydliwego smrodu opatrywanych właśnie ran. Chorzy owinięci jak mumie papierowymi bandażami, stali nago przed salką opatrunkową, owrzodziali, wyschnięci, łysi.

Z łóżka widać było jednak most na Sole i zielone korony drzew.

W południe łącznik przyniósł kartkę od Felka:

„C. n i e m a"

Przerażony patrzał „Robert" na karteczkę papieru szukając wytłumaczenia jej treści. Czyżby „Cygan" nie panował już nad sobą? Wieczorem wiadomość potwierdziła się: „Cygan" uciekł ubiegłej nocy.

Następnego dnia przyszła odpowiedź z bazy, że w oznaczonym terminie odbiorą „Cygana" z punktu. Pomiędzy ucieczką a umówionym terminem było trzy dni różnicy. Gdzie podzieje się „Cygan" przez ten czas? — myślał „Łysy" nie wiedząc, iż „Cygan" zna adres.

Wypadki toczyły się szybko. Chłopcy z Birkenau odnaleźli „Cygana" tuż przy postenkiecie, leżącego w kępie niziutkich krzaków, z pianą na ustach, łypiącego białkami oczu. Był już za postenkietą, leżał bez zmysłów, strach i wyczerpanie wyrzeźbiły się na ziemistej twarzy. Tuż obok kręcili się esmani trenując psy gończe.

Chłopcy wtajemniczyli we wszystko całe komando i przerzucili „Cygana" na „Meksyk" pomagając mu wejść z powrotem do bunkra.

„Cygan" bredził w gorączce: ... już mam dosyć, zlitujcie się, już mam dosyć... puśćcie mnie, pójdę na Politische i niech robią ze mną co chcą, niech mnie powieszą, i tak zdechnę w tej norze, nie wytrzymam...

Teraz już obóz wiedział nie tylko o tym, że „Cygan" ukrywa się, ale z półsłówek rzucanych przez komando, domyślał się, gdzie znajduje się jego kryjówka. Było coś niepojętego w zachowaniu tajemnicy przed Niemcami. Tysiące więźniów obnosiło się z nią wśród swoich, mówiło o niej, lecz *Oddział 2, gestapo, nie miało o niczym pojęcia.* Oto solidarnie postawiono granicę i nie przekroczono jej: granicę zdrady. Czy jednak da się ją utrzymać? Wątpiła w to cała grupa. Lada nieostrożny krok, czy słowo, a zadyndałoby na stryczku wielu, wielu towarzyszy.

Lecz czy sam „Cygan" nie przekroczy owej granicy? Jeśli zgłosi się w tym stanie, gestapo wszystko zeń wyciągnie. Należało szybko zadecydować, myśląc o nim jako o kimś bardzo bliskim, i równocześnie jako o nieznanym członku sprzysiężenia, o żołnierzu podległym prawu wojny i rozkazowi.

Nigdy jeszcze wieczór nie wydawał się tak dusznym i upalnym, pot ściekał z czół i policzków naradzających się na strychu przywódców. Sprawę pozostawiono do rozstrzygnięcia polskim członkom kierownictwa — to głównie wasza sprawa — mówił twardo „Adam" — i wy sami musicie ją zlikwidować...

„Stakło" odpakował nowy ładunek trucizny, tłumacząc sposób użycia. — Tylko w czymś kwaśnym — w musztardzie — mówił — ewentualnie w zupie, żeby się nie spostrzegł i narobił kramu...

Rozmowę z Felkiem wziął na siebie „Robert". Chłopak słuchał uważnie, bez zmrużenia oka. Dobrze się składało, bo właśnie nosił „Cyganowi" ciepłą zupę, o którą ten bardzo prosił nie jedząc od tygodni nic ciepłego. Więc w zupie... oczywiście... a jeśli będzie krzyczał lub charczał? Tam teraz jakieś komando kopie rowy i zakłada rury, usłyszeliby łatwo...

Było coś okrutnego we wzroku Felka, kiedy sam doszedł do wniosku: — Jak będzie krzyczał, to go zaduszę, cóż robić...

— Słuchaj, Felek, może ty nie dasz rady, to powiedz, wiem, że to twój bliski przyjaciel, będzie ci trudno i ciężko...

— Właśnie dlatego, że przyjaciel. Nie, nikomu innemu on nie zaufa, tylko mnie; jakoś dam sobie radę. Nikt inny nie powinien tego robić, właśnie dlatego... że przyjaciel. Tylko... co będzie z trupem?...

— Zostaw to Dawidowi, dobrze?

Pożegnali się czulej niż zazwyczaj. Felek zgarbiony, szybkim krokiem pomaszerował do siebie.

Jeszcze tego samego wieczora przyszedł do „Łysego" Adam, wtajemniczony w całą sprawę i podtrzymujący kontakt z Birkenau w tych dniach, kiedy Felek nie mógł się wymknąć z obozu, i powiedział tajemniczo:

ALEKSANDER ZELWEROWICZ
obchodził w dn. 8.XI.46 r. 50-lecie swej pracy scenicznej

— „Cygan" powinien wyjść już na obóz, bo właśnie przywieźli jego matkę do Frauenlagru z Warszawy. Mógłby jej pomóc. Jak uważasz, Józek?

„Łysy" popatrzył smutno na czerstwą, obrośniętą twarz Adama, wokół wąskich, zaciśniętych warg błąkał się szyderczy uśmiech.

„Robert" zaglądał do niego kilka razy w nocy.

Palili papierosy siedząc w kącie izby, zasłonięci szafkami. Kot „Kajtek" patrzał na nich z okna żółtymi światełkami oczu.

Świt zapowiadał piękną pogodę. Bławatkowe niebo tkwiło nad Oświęcimiem, kiedy wyruszały komanda. „Łysy" stał przy oknie mrużąc podpuchnięte oczy. Wzywali go znowu do podjęcia próby ucieczki, potrzebowali go „tam", czy mógł jednak ryzykować tak jak „Cygan"? Sprzeciwiał się temu zresztą nawet „Robert". Przesuwały się w myślach obrazy lat ostatnich, konspiracja partyjna, aresztowanie, długie miesiące w celi więziennej, próby wydobycia go, żelazne kosze na oknach „Montelupich" i kajdany na rękach, wyjazd do Oświęcimia, kontakty oraz pierwsze listy „stamtąd": uciekaj!

Przygotowana ucieczka i aresztowanie w obozie, śledztwo, bunkier w oczekiwaniu śmierci i list do towarzyszy: przyślijcie mi truciznę...! i pierwszy pocałunek z przyjaciółmi po wypuszczeniu z bunkra.

Ciężko wlokły się godziny do apelu. Czy Felek podoła zadusić przyjaciela, łatwo się mówi — otruć przyjaciela, bo to ratunek dla organizacji, bo to pozostawia przy życiu setki być może ludzi spisku. Inaczej rozumuje Felek: on zlikwiduje „Cygana", aby jego przyjaciel nie musiał być zdrajcą. Felek ratuje nie organizację, lecz samego „Cygana". Czy go uratuje? Czy nie będzie za późno?

Felek poszedł wpierw do Dawida wtajemniczając go w plan. Dawid zatrzepotał rękami: — ty? daj, to ja to zrobię, — powiedział, ale Felek nie zgodził się. Wziął od Dawida bańkę zupy wsypał proszek i powąchał — nie było czuć.

Na „Meksyku" panował niezwykły ruch. Więźniowie nosili na drągach rury i wpuszczali je w wykopane uprzednio rowy. Felek obszedł blok i zapukał w podłogę. Nikt nie odpowiadał. Odsunął deski i wkroczył do bunkra. „Cygana" nie było.

Na ziemi leżały ubrania więźniarskie, puste puszki z konserw, kawałki chleba i scyzoryk. Serce waliło jak oszalałe. Felek tracił oddech. Wylał zupę w kąt ziemianki i wybiegł szybko z bloku szukając Dawida. Teraz trzeba było prędko wracać do obozu, może „Cygan" jest już na politycznym oddziele, może uda się jednak jeszcze powstrzymać katastrofę. Żaden post nie odchodził do obozu głównego. Felek miotał się po Birkenau tracąc resztki panowania nad sobą. Jak nieprzytomny wlókł się wieczorem do obozu powtarzając sobie — wszystko stracone.

— No, jak? — zapytał go czekający przy bramie „Robert" — mówże człowieku!

— „Cygana" nie ma, nie ma, poszedł na polityczny.

— Ależ to nie prawda, nie było nikogo na politycznym, wiedzielibyśmy o tym na pewno.

— Na pewno? — wyjąkał Felek.

— Na pewno, „Cygan" musiał uciec.

— Och, to ze mnie idiota, Boże mój, że ja też na to nie wpadłem — odparł Felek siadając ciężko.

Teraz dopiero wychodziło z nich zmęczenie, sznurujące gardła, zaciskające krtanie. Po pięciu dniach nadeszła w naszej poczcie kartka od „Cygana". Pisał z bazy w Brzeszczach:

„Nie mogłem czekać. Byłem na wpół przytomny tamtej nocy i chciałem się już poddać. Rano komando kopiące obok bloku odkryło mnie. Jakiś Grek zarył łopatą głęboko, wypadła dziura w powale bunkra. Podniosłem grudę ziemi aby dziurę zatkać, ale się nie udało. Grek zaglądnął w dziurę spostrzegł mnie i krzycząc uciekł. Odzyskałem od razu przytomność i wyszedłem z bunkra ukrywszy się na jednym z bloków, gdzie siedziałem do nocy. Poszedłem nawet lekko, bo było ciemno, tylko po okolicy błądziłem długo i byłem głodny. Jakoś trafiłem na adres..."

— Na jaki adres znowu — warknął „Łysy" patrząc na „Roberta" podejrzliwie. Ty, słuchaj byku — ty dałeś mu adres... ach idioto, mógł przecież wysypać całą bazę.

Czy mógł? Czy nie zdawał sobie sprawy, że wokół niego, tygodniami siedzącego w ziemi Oświęcimia wytworzyła się zmowa setek a może tysięcy więźniów? I że oni go nie zdradzili...'

Tadeusz Hołuj

JAN ROJEWSKI

WHO IS WHO?

(Drugi Walny Zjazd Delegatów Związków Zawodowych Literatów Polskich)

WPRZEDDZIEŃ Zjazdu sporządziłem sobie listę pisarzy, których chciałbym poznać bodaj z widzenia. Wyrósł człowiek pod urokiem tych nazwisk, z każdym wiąże jakieś plastyczne wyobrażenie, chciałby więc przy nadarzającej się okazji skonfrontować wyobrażenie z rzeczywistością. Spisałem oczywiście nazwiska najbardziej znane, a więc: Iwaszkiewicz, Staff, Tuwim, Broniewski, Nałkowska, Dąbrowska, Parandowski, Szaniawski, Morstin, Zarembina, Gojawiczyńska, Ważyk, Przyboś, Jastrun... i już w korytarzu zacząłem snuć domysły: Who is who? — Spojrzenie moje padło na szczupłego literata o lirycznych oczach i satyrycznym nosie. Robił wrażenie poety. Raz po raz gładził swoją długą, czarną czuprynę i przymykał oczy w głębokim namyśle. Tuwim — pomyślałem. Tymczasem za stołem prezydialnym p. wiceprezydent Ajnenkiel odczytał przywitalne przemówienie, którego wszyscy wysłuchali z szacunkiem, a Timofiejew z tremą. Zajęty obserwowaniem Parandowskiego, monumentalnego mężczyzny o rzymskiej głowie, przeoczyłem chwilę powołania prezydium zjazdu. Zdążyłem tylko zidentyfikować Żukrowskiego, którego zjazd przyjął oklaskami. Zresztą domyśliłem się od razu, że jest to najmłodszy delegat, bo miał najpoważniejszą minę i bez przerwy ściągał brwi. Z przemówień przedstawicieli partii politycznych należy chwalebnie wyróżnić delegata PSL-u, który paroma słowami zjednał obozowi lewicy więcej sympatyków niż Żółkiewski w ciągu obu lat niepodległości. W słowach patetycznych, a niezrozumiałych zapewniał literatów, że prawda to prawda, a serce to serce. Na zakończenie wezwał obecnych do „poszerzenia serc" słowami Mickiewicza, które w zapale oratorskim przypisał Piotrowi Skardze. Oklaski świadczyły jednak o mocnej reakcji na sali. Prelegent, wzruszony do łez patosem chwili, wrócił na miejsce i usiadł pod portretem Jana Kwapińskiego, prezydenta miasta Łodzi w roku 1939-ym. Z sąsiedniego miejsca podniósł się właśnie literat, którego nazwisko intrygowało mnie od dłuższej chwili. Szlachetna sylwetka, umiarkowane gesty, myśląca twarz, to wszystko świadczyło o klasie. Nie mogłem się mylić, Jarosław Iwaszkiewicz... Podszedł do stołu prezydialnego z notatnikiem w dłoni, a Czachowski, którego początkowo wziąłem za Jurandota ogłosił: Jan Nepomucen Miller — Myślę, że biblijny Jakób musiał doznać takiego uczucia jak ja w tej chwili, kiedy pod woalką Rebeki ujrzał twarz Lei. Trudno, niech ma Miller pretensje do poety o to, że kilkanaście lat temu zrymował „Nepomacen — saracen, Nepomucyk — kucyk". To jest bardziej sugestywne niż szlachetna sylwetka, umiarkowane gesty i myśląca twarz. Ale posłuchajmy przemówienia, satyrycy lubią przesadzać. Niestety, mimo najlepszą wolę, po odrzuceniu bawełny postępu, którą mówca owijał każde zdanie, zrozumiałem, że chodzi tu o przestawienie pisarzy z nurtu postępu społecznego w skali narodowej na bajorka zachowawczego regionalizmu, w oparciu o zachowawcze chłopstwo, ostatnią nadzieję Jana Nepomucena Millera. Prelegent z P.

Jerzy Zagórski

S. L-u oklaskiwał to przemówienie z powodów sobie wiadomych. Szczególnie zaś gorąco miejsca w rodzaju: „Mamrot zbiorowy pospólnego pochylenia głowy...", „Sklepiony kształt wymagań rzeczywistości..." i „Tymeniczna elipsa..." — Jakież było moje zdumienie, kiedy zauważyłem, że i pisarz upatrzony przeze mnie na Tuwima podobnie reaguje, mrugając radośnie w stronę Parandowskiego, monumentalnego mężczyzny o rzymskiej głowie. Jak się za

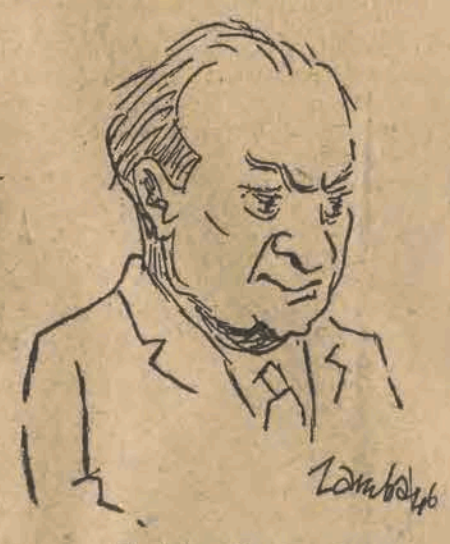

Kazimierz Czachowski

chwilę przekonałem, poeta o lirycznych oczach i satyrycznym nosie, domniemany Tuwim, okazał się Szczawiejem, a domniemany Parandowski — Dzikowskim. Napróżno pytałem znajomych krytyków, kto to jest Szczawiej. Nikt nie wiedział, nikt nie słyszał. Dzikowski natomiast, należy jak się okazało do owych nielicznych młodych pisarzy, którzy zdobyli nazwisko w rekordowo krótkim czasie. Każdy wie kto to jest Dzikowski, od czasu kiedy „Szpilki" zamieściły fragment noweli tego pisarza w „Gabinecie osobliwości".

Musiało już być południe, kiedy zabrał głos Rusinek, bo w drzwiach sali obrad ukazał się Paweł Hertz. Jasne sportowe ubranie, odpowiednie w porannych godzinach obrad, zmienił w związku z południową porą na żakiet, sztuczkowe spodnie i plastron z wpiętą perłą na złotej szpilce. Perłowe rękawiczki z renifera i szary cylinder dopełniały ubioru. Stojący opodal Rudnicki zmienił właśnie stalowy zegarek „Water prooff" na inny, także ręczny, ale złoty i bardziej płaski, stosowny do pory obiadowej. Tymczasem Rusinek mówił o nędzy literata w Polsce. Był bardzo przejęty, chociaż złośliwi twierdzą, że nie tyle dolą literata, ile kupletami w „Kuźnicy". Widziałem go potem, kiedy parokrotnie mijając Minkiewicza, groził mu filuternie paluszkiem: „Ty figlarzu..." Wywody Rusinka poparł Brzechwa, czarujący mecenas z goździkiem w klapie. Przemówieniem pełnym wdzięku, humoru i taktu zdobył serca lewicy i prawicy, nie wyłączając pisarzy tak apolitycznych, jak Maria Dąbrowska i Stefan Kisielewski. Brzechwa ma wyczucie złotego środka, w myśl rozsądnej zasady: „Alii bella gerent, tu felix Brzechwa nube!" — ślub odbył się parę tygodni temu.

W imieniu ustępującego Zarządu Głównego przemówił „Miles gloriosus" — Stanisław Ryszard Dobrowolski. W godzinnym przemówieniu wyliczał wszystkie sprawy, których Zarząd nie załatwił. Promieniał przy tym optymizmem życiowym, uśmiechał się beztrosko donosząc, że w ciągu roku Zarząd wypłacił ogółem... sześć tysięcy złotych zapomogi. Jaśniał takim szczęściem, że dalej siedzący członkowie Związku, którzy nie mogli dosłyszeć słów, a obserwowali tylko oblicze sprawozdawcy, gratulowali sobie osiągnięć, a biedniejsi padali sobie w objęcia, rozrzewnieni perspektywą całych butów i ciepłych mieszkań, gdzie by mogli nareszcie pisać państwowotwórczo.

Z melancholią Juliusz Żuławski dorzucił parę uwag, z których zapamiętałem jedną, a mianowicie: „Praca ideowa powinna być opłacalna".

Właśnie Paweł Hertz zmienił żakiet na czarną marynarkę, a plastron na krawat w kolorach czarno - srebrzystych, zaś Rudnicki złoty sztoper na płaski zegarek kieszonkowy, widomy znak, że jest piąta popołudniu, pora na kawę. Tymczasem podszedł do stołu prezydialnego Stefan Żółkiewski. Jak na bojownika o sprawę proletariatu zadziwiał wszystkich pokaźną tuszą. Niektórzy twierdzili, że to jest właśnie widoma różnica między rewolucją ła-

godną a gwałtowną. Zaczął swoje przemówienie po łacinie, cytatem ze św. Augustyna. Słuchacze zarżeli serdecznym śmiechem. Sądzę, że podobną wesołość wzbudziłoby przemówienie Kisielewskiego, cytującego Lenina w języku rosyjskim. Ale wróćmy do świętego Augustyna: „Nie chodź na rynek, wejdź w siebie, we wnętrzu człowieka mieszka prawda". W dłuższym przemówieniu starał się Żółkiewski udowodnić, że „...prawda mieszka nie we wnętrzu człowieka, ale na rynku, wbrew świętemu Augustynowi". Przy okazji, korzystając z obecności pisarzy o „magicznym sposobie myślenia" próbował z żarliwością apostoła i wyrozumiałością nauczyciela uzasadnić „...myśli bardzo znane, które uparcie lekceważy mieszczańska pogarda w skurczu samoobrony". — Całe rzędy literatów skurczyły się w samoobronie. Szlachetne rysy Millera drgały nerwowo, znany mi już Szczawiej szukał wzroku znanego mi już Dzikowskiego, wołając spojrzeniem „Trzymajmy się!", a jakiś podręczny redaktora „Teatru" sykał nawet gniewnie w miejscach, które ja oklaskiwałem. Słyszałem, jak ktoś pocieszał się ziewając, że nie wystąpił jeszcze Ważyk. Zaintrygowany zacząłem szukać twarzy, która by odpowiadała mojemu wyobrażeniu o Ważyku. Tuż przede mną siedział ogromny mężczyzna o wspaniałym karku i potężnych biceps-ach, rozpierających rękawy marynarki. Wieczne pióro wyglądało w jego ogromnej dłoni jak niedopałek. To on, pomyślałem. Tylko od rozmachu tej prawicy mogło trzykrotnie uderzać w rzucie na zachód serce granatu. Zwierzyłem się ze swego odkrycia sąsiadowi. „To przecież Balicki" — zachichotał i wyjaśnił, że wprawdzie Ważyka nie zna, ale słyszał, że jest drobny, szczupła twarz, niewielka głowa, rzadkim zarośnięta włosem, nos wysunięty do przodu, jak gdyby ustawicznie czegoś węszył i cofnięty do tyłu podbródek. Rozczarowany „marzeń zdradą" odwróciłem się ii... nie mogłem się mylić. To napewno Ważyk. Drobna twarz, węszący nos, cofnięty podbródek, rzadki włos...

Tymczasem Żółkiewski mówił dalej. Kiedy skończył podziękowano mu nader skąpymi oklaskami. Speszyło to bardzo pisarzy proletariackich, jak Hertz i Dygat, podczas gdy podręczny redaktora „Teatru" gratulował komuś cichcem: „Nie przejdzie! Leży!" Widziałem, jak Ważyk podszedł do Żółkiewskiego i biorąc go pod ramię powiedział: „Dobrze zaryczałeś, lwie..." — „Trzymają się kupy" — szepnąłem sąsiadowi. — „Kto?" — „Ano Ważyk z Żółkiewskim...." — „To nie Ważyk, to Stefan Kisielewski!"

Była już pewnie ósma wieczór, bo Hertz zjawił się w smokingu, a Rudnicki zmienił płaski zegarek kieszonkowy z nierdzewnej stali na płaski zegarek złoty, kiedy przemówił Sokorski, delegat Z.Z.Z. Mówił o ewentualnym opodatkowaniu się świata pracy na rzecz literatów, o sympatii i szacunku jakim cieszy się literat u robotnika,

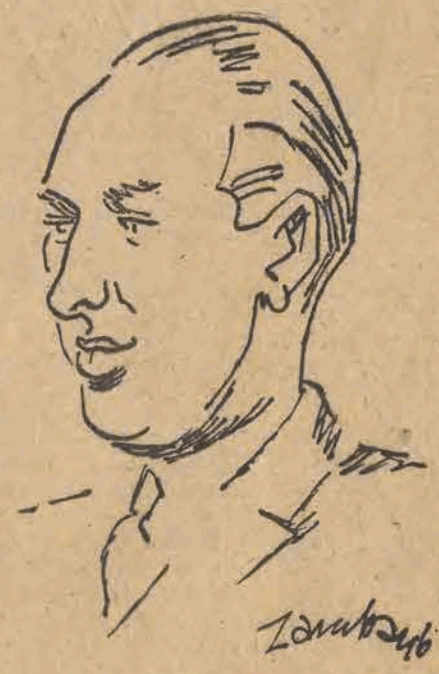

Juliusz Żuławski

o ścieśnieniu kontaktów z masą proletariatu, co winno pobudzić twórczość współczesnego pisarza.

Żadne znaki na ziemi i niebie nie zapowiedziały wojny, która miała się rozpętać

następnego dnia. Dochodziła dopiero dziesiąta, bo Hertz był w sportowym ubraniu, a Rudnicki w sportowym zegarku, kiedy zabrała głos Maria Dąbrowska, w ramach dyskusji nad wczorajszymi referatami. Wprawdzie w kory do Zarządu, mające się odbyć popołudniu podnieciły trochę umysły, to kogoś odwoływano na pokątne siuchty, to sporządzano i przerabiano pośpiesznie listy, szeptano sobie na ucho, klepano się po ramieniu, ściskano sobie dłonie z przybiciem, jak na targu w Odrzywole... ale na ogół brak znamion walki politycznej. Dopiero dobra pani, o jasnych oczach i gładkich, krótko ściętych włosach przemówiła szczerze, jak przystało na agitatora przed wyborami do sejmu. Bez powoływania się na Piotra Skargę, bez Millerowskiej bawełny. Naprzód o Sokorskim. Wnikliwym okiem pisarza oceniła Dąbrowska trafnie, że przemówienie Sokorskiego zawierało „niebezpieczne" znamiona. Oto przedstawiciel milionowego związku, masy czytelniczej, zwraca się bezpośrednio do pisarzy bez żadnych krępujących wymagań. To właśnie jest podejrzane. W odpowiedzi na tę ofertę Dąbrowska stwierdziła, że Obywatel mówił wprawdzie bardzo pięknie i szlachetnie, ale nie zna go i nie ma pewności czy to nie był polityczny podstęp. Jeszcze brzydszy chwyt zastosowała Dąbrowska w stosunku do Żółkiewskiego. Co innego, kiedy ja w satyrycznym felietonie twierdzę, że nie słyszałem nazwiska Szczawiej, a co innego kiedy Dąbrowska powtarza w ciągu godziny w ponurej pasji: „Pan Żółkowski". W polemice z „Żółkowskim" określiła Dąbrowska swój pogląd na nową rzeczywistość i stanowisko jakie winien zająć pisarz. Ponieważ rynek — nowa rzeczywistość, o której mówił Żółkiewski jest kłamstwem, fikcją, mistyfikacją, pisarz musi być apolityczny jeżeli pragnie zachować, z jednej strony czyste sumienie, a z drugiej — po prostu życie. Dach nad głową, chleb kartkowy i t. p.

Aleksander Wat

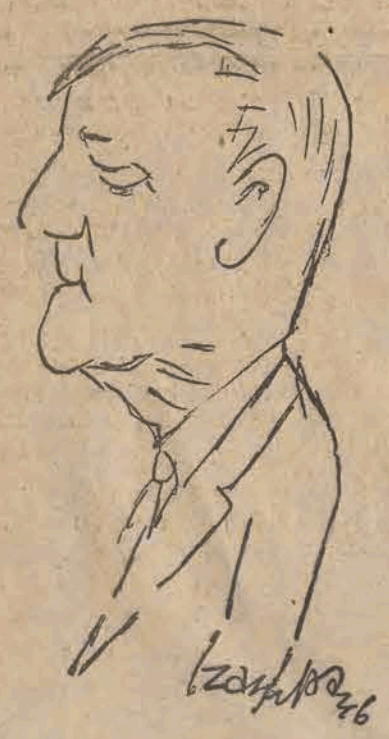

Jan Nepomucen Miller

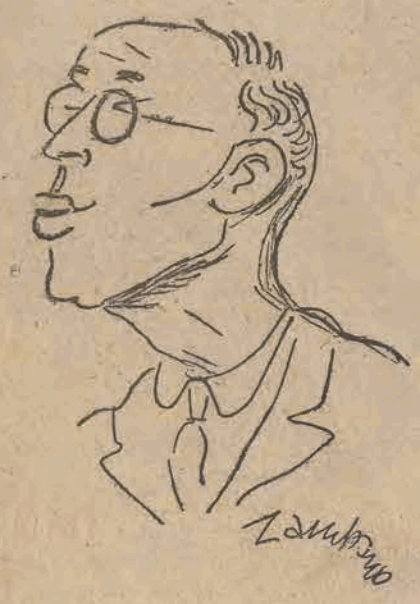

Wojciech Natanson

Całe wystąpienie Dąbrowskiej zawierało w sobie pierwiastki tragikomiczne. Był to komizm chaplinowski. Pamiętacie Chaplina, który błąkał się po dokach i niechcąco zawadził o jakąś niepozorną dźwignię. Rezultat był gigantyczny, — kadłub kolosa transoceanicznego wypłynął ze stoczni na pełne morze. Parę nieśmiałych słów dobrej pani o jasnych oczach i oto zerwał się Żółkiewski, jak ów kadłub kolosa transoceanicznego, groźny i niszczący. Napróżno, przerażona Dąbrowska tłumaczyła zebranym jak Chaplin robotnikom stoczni, że to niechcący, że nie chciała nic złego, że nie mogła przewidzieć, że jest przecież pisarzem uspołecznionym, że to, że tamto... Żółkiewski sunął jak masyw górski. Po drodze zahaczył Szczawieja, Dzikowskiego i Kisielewskiego. To oni trzej oklaskiwali tezę apolityczności, trzej, z których dwaj conajmniej, są członkami partii politycznych! Szczawiej nie wytrzymał nerwowo, (słaby charakter) i na głos przysięgał Żółkiewskiemu, że jego także oklaskiwał. „Bo mnie pan widocznie nie zrozumiał" — zagrzmiał masyw górski.

Musiało już być południe, bo w drzwiach ukazał się Paweł Hertz jak żywy chronometr. Zegar wskazywał żakiet, sztuczkowe spodnie i plastron z wpiętą perłą na złotej szpilce, a zatem — obiad.

W szatni spostrzegłem jeszcze jak Szczawiej (słaby charakter), przysięgał skolei Dąbrowskiej, że jej przemówienie było genialne. Kisiel się nie wyparł, Dzikowski też nie, że apolityczność jest polityką. Stąd już krok do dialektycznego myślenia.

Wszystko co słyszałem potem, brzmiało już spokojnie, jak szemranie fal w zatoce po burzy, która przeszła otwartym morzem. Jeszcze Miller w manii, która go prześladuje zapewne od owego wierszyka poety, próbował porównać Żółkiewskiego do szarżującej kawalerii, jeszcze przemawiał Zagórski rozsądnie i do rzeczy, przesiąknięty widocznie miazmatami zachodu, Pragi i Paryża, bo zamiast Millerowskiego pure nonsensu domagał się pure consensu, porozumienia i rozsądku. Co więcej, opracował nawet traktat o lekkomyślności. A duża to lekkomyślność ganić w Polsce lekkomyślność, niemal szarganie świętości.

Jasne, że zjazd literatów nie mógł nie zaszczycić swoimi obradami Eugeniusza Kuthana. Brzechwa niezadowolony widocznie z satysfakcji moralnej, którą mu wręczył Kuthan, bronił skolei honoru Petersowej. Skorzystał z tego Ważyk, nieugięty bojownik sprawy niełączenia funkcji, i paroma zdaniami zmusił Czachowskiego, do deklaracji, że w wypadku gdyby przeszedł jako prezes zrezygnuje z departamentu. Przy okazji wyjaśnił S. Ryszard Dobrowolski ,że rezolucja Zarządu Głównego potępiająca Kuthana była sporządzona i podpisana i z tajemniczych przyczyn w ostatniej chwili wycofana. poczem nastąpiło wręczenie nagrody. Obecny na sali Furmanik poczuł się w obowiązku zakomunikowania Ważykowi i obecnym, że w czasie kiedy zasiadał w jury nagrody Kuthana nie zasiadał jeszcze w Departamencie, co umocniło w zebranych podziw dla umiejętności przewidywania fundatora nagrody.

Tymczasem Sandauer z braku papieru, ołówka i egzemplarza tłumaczył Bruno Szulca na francuski, z pamięci na pamięć, patrząc na Millera, który z całych sił starał się zaciemnić to co chciał powiedzieć, a mianowicie, że do Zarządu Głównego winni wejść pisarze mieszkający w Warszawie, a więc: Miller, Szczawiej, Dzikowski, Dąbrowska... Na poparcie tej tezy Dąbrowska przypomniała zdanie pewnego Amerykanina, który powiedział, że poza Warszawą wszystko jest trywialne. Przyszło mi przez myśl zdanie ze słynnego już poematu Dzikowskiego „wziąłem ją w przedpokoju, jak stała, w palcie, kapeluszu, z torebką i parasolką" — Aby oczyścić pozawarszawskich pisarzy z zarzutu trywialności i przekonać Dąbrowską i innych, że w Zarządzie powinni zasiąść ludzie, ale tacy, którzy będą w stanie sprostać zadaniom, nie wybrani pod kątem ich miejsca zameldowania, rusza Żółkiewski, ciężki, pancerny, jak husaria. Tym razem pasja zerwała wędzidła cierpliwości. Jedno zdanie zapamiętałem lepiej niż inne: „I my, literaci jesteśmy także odpowiedzialni za krew, która się jeszcze w Polsce leje!" — Pomyślałem, że gdyby Dąbrowska zamiast „kurczyć się w samoobronie" i podważać przy każdej okazji wzajemne zaufanie, tylko dlatego, że Żółkiewski jest redaktorem „Kuźnicy", a Sokorski przedstawicielem robotników, — to wzajemne zaufanie gruntowała, kto wie czy właśnie słowa Marii Dąbrowskiej nie powstrzymałyby młodych ludzi od poszukiwania „Lasu". Głos Dąbrowskiej jest ważki, powinna o tym pamiętać zanim go rzuci na jedną z dwu szal.

Nie sądzę, aby Żółkiewski przekonał swoich późniejszych wyborców logiką argumentów. Głosowało na niego, o czym świadczą cyfry, wielu delegatów o „magicznym sposobie myślenia", dla których logika nie istnieje. Nawet Kisielewski powiedział, że Żółkiewski ma dla niego tę zaletę, że jest nieprzekonywujący. A jednak przekonał. Przekonał pasją, uczciwością i niekłamaną troską o sprawy ważne. Zrozumiał to każdy, nawet taki, dla którego myślenie jest połączone z niewymowną męką.

Maria Dąbrowska

Stefan Kisielewski

Jerzy Zawiejski

Musiało już być późno, kiedy ogłoszono wyniki wyborów, bo smoking Pawła Hertza wskazywał conajmniej ósmą. Z miny Seweryna Pollaka wywnioskowałem, że nie został wybrany na prezesa, chociaż nawet nie kandydował, natomiast Czachowski wyglądał jak Miltiades po bitwie pod Maratonem. Był wyczerpany i szczęśliwy. Zwyciężył, można rzec walkowerem, bo kontrkandydat, Iwaszkiewicz, nie zjawił się. Nieobecni, jak wiadomo, nigdy nie mają racji.

Who is who? Kto jest kim? — z tą myślą siedziałem na sali obrad i mimo, że nikt z pisarzy nie tworzył w tym czasie dzieł, a tylko zabierał głos, rzucał słowa, zdołałem utrwalić sobie w pamięci portrety, jak sądzę, prawdziwe. Może dlatego, że kłamstwo wymaga dłuższego namysłu niż prawda, łatwiej znaleźć prawdziwe oblicze pisarza w gorączkowej dyskusji niż w wielotomowych dziełach. Naprzekór przysłowiu verba volant, słowa pozostały, w myśl innej rzymskiej maksymy: Cornu bos capitur, voce ligatur homo. Byka chwyta się za rogi, człowieka — za słowo.

Jan Rojewski

Wspólny obiad po zamknięciu obrad II Walnego Zjazdu Delegatów ZZLP.

Ciężka sprawa

Ciężka sprawa. Sam fakt, że nie można jej od dwu lat rozwiązać należycie — wskazuje na szczególnie trudny, złożony, nierozwikłany splot przyczyn, i to samo wystarcza, by stale nia niepokoić opinię publiczna. Mam na myśli sprawę bytu materialnego nauczycieli. Na konieczność podniesienia stopy życiowej nauczycielstwa wskazują wszystkie pisma bez względu na kierunek.

Tak samo pozytywnie pisała o tym „Kuźnica", jak i „Tygodnik Powszechny", tak samo „Robotnik", jak i „Gazeta Ludowa". Pisano o tym wielokrotnie w ciągu dwu lat. I bynajmniej nie bezskutecznie. Przeciwnie, władze oświatowe wielokrotnie podejmowały akcję w tym kierunku. Na przestrzeni dwu lat sytuacja materialna nauczycieli wielokrotnie uległa poprawie. Tym nie mniej jednak — dalecy jesteśmy nie tylko od normalizacji stosunków w tej dziedzinie, ale i od sytuacji, która by nie budziła zrozumiałego niezadowolenia. Myślę, że można i należy domagać się nowej akcji, zmierzającej do zwiększenia świadczeń na rzecz nauczycieli. Myślę, iż w stosunku do dokonanej poprawy bytu innych pracowników nauczyciele dostali stosunkowo mniej. Nie dość zwłaszcza wobec społecznej wagi tego zawodu. Zły stan materialny nauczycielstwa powoduje już zauważalne obniżenie się poziomu kultury narodowej. Potwierdzi to każdy, kto ma do czynienia z młodzieżą opuszczającą szkołę powszechną. Dowiaduje się, iż władze oświatowe zajmują się tymi sprawami. Są również już odpowiednie uchwały i akcja, wdrożone przez K.C.Z.Z. Pragnąłbym, aby tym razem podeszło się do tej sprawy z należytym zrozumieniem jej doniosłości i z potrzebnym rozmachem. Daleki jestem w tych rozważaniach od taniej demagogii i chęci zyskania sobie opinii obrońcy sprawy nauczycielskiej przy pomocy nieobowiązujących deklaracji.

Przeciwnie pragnąłbym, aby wielu spośród nauczycieli naprawdę zrozumiało trudności, z którymi boryka się państwo. Aby nie powtarzały się żądania, które słyszałem rok temu na zjeździe ZNP w Bytomiu, a które świadczyły o całkowitym niedostosowywaniu swych potrzeb do możliwości zniszczonego kraju. Ponieważ zawsze jednak w ramach przyjętego rozsądnie budżetu jakoś hierarchizuje się wydatki — myślę, że sprawę pomocy dla nauczycieli należy postawić doprawdy na jednym z naczelnych miejsc. Jeśli nie będzie lekkomyślnością sadzić, że społeczeństwo nie doceniło dotąd problemu bytu nauczycieli, to przecież z drugiej strony nie to jest całą i jedyną przyczyna niezadawalającego stanu rzeczy w tej dziedzinie.

Jest i druga strona medalu. Proszę mi wierzyć, że załatwianie problemów nawet najoczywiściej doniosłych, społecznie ważnych, obchodzących w równej mierze wszystkich — wymaga dogadania się, porozumienia, wspólnego języka stron zainteresowanych.

Otóż nauczycielstwo, co tu ukrywać, nie zawsze, a raczej bardzo rzadko znajdowało wspólny język z odbudowująca się Polską i siłami, które ją tworzą.

Czyż ZNP, które do r. 1939 odgrywało tak doniosła rolę ośrodka istotnej awangardy postępu i demokracji — nie zeszło teraz pod wieloma względami do drugorzędnej roli „wewnętrznego emigranta"?

Sympatie pewnej części nauczycielstwa do PSL-u narzucały jej zbyt często postawę negacji, krytyki, boczenia się, nieufności — wszystkie typowe grzechy PSL-owskie, wraz z jednoczesną odrazą do przeciwstawienia Obozowi Demokracji jakiegokolwiek pozytywnego programu. W tych warunkach, nawet przy najlepszym teoretycznym rozumieniu potrzeb i znaczenia nauczycielstwa — konkretne dogadanie się jest trudne. I tu tkwi podstawowa komplikacja omawianego problemu. Aby nauczyciele mogli porozumieć się z resztą świata pracy na swój temat — muszą znaleźć wspólny język. Ten język, jak wszystko ludzkie — rodzi się w pracy, w działalności. Nauczycielstwo musi związać się silniej niż dotąd z praca, z wysiłkami Obozu Demokracji. To stworzy podstawę porozumienia po usunięciu trudności, przynajmniej od jednej strony, trudności, które dotąd hamowały rozwiązanie poruszonego w tym artykule problemu. I proszę nie rozumieć mnie cynicznie. To co piszę nie znaczy „zapiszcie się do partii, a będzie wam lepiej". To byłaby nielojalna i głupia trywializacja myśli, które wyrosły z uczciwej troski. Nie można, zachowując niechętna postawę opozycyjnego krytyka — osiągnąć porozumienia w jakiejś żywotnej wspólnej sprawie. Ja wskazuję tylko na potrzebę tej przychylności ze strony nauczycielstwa dla Obozu Demokracji, tej przychylności, która jest świadectwem poczuwania się do wspólnoty, albo współkroczenia jedną i tą samą drogą, w tym samym kierunku. Nauczyciele winni zrozumieć tę socjologiczna konieczność nie tylko we własnym interesie, ale i w interesie kultury polskiej, której rozwój i poziom zależy przecież od dobrobytu nauczycielstwa.

Krytyków moich proszę o zrozumienie szczerości moich słów.

Prosze mi nie wytykać, iż nie poruszam tu spraw związanych bezpośrednio z omawianym problemem jak np. faktyczna bezpłatność szkoły. Rozumiem bolesna doniosłość tego zagadnienia. Ale myślę, że na tym etapie pracy naszej nad odbudowa — trzeba najpierw realnie podejść do spraw wstępnych. Te dalsze, tak ważne, zależą od naszego udziału, od pozytywnego udziału nas wszystkich w pracy nad realizacja planu trzyletniego — planu, który wytyczył obóz Reformy, Obóz Demokracji. Na początek — nauczyciele, na nowej płaszczyźnie wspólnej drogi i wspólnych celów, winni dogadać się z tym obozem.

Stefan Żółkiewski

PROROCY I PŁACZKI

Pesymiści, sceptycy, apolityczni klerkowie wykarmieni na Bendzie, egzystencjonaliści in blanco, którzy uwierzyli Sartre'owi „na słowo" — wszyscy narzekają na zakłamanie naszych czasów. Słusznie zresztą, bo wiele się łże, jak świat szeroki, a, co gorsza, tyle nałgało się w przeszłości, że system gotowych kłamstw czuwa nad kołyską Europejczyka. Nie drażniłyby mnie więc skargi i jęki, gdyby nie to, że jest w nich metoda. Płaczki, narzekające na obłudę, widzą ją nieraz tam, gdzie rodzi się brutalna prawda, a przymykają oczy na szalbierstwo, jeśli — bądź najpługawsze — służy im w rozumowaniu. Nowy rodzaj hipotez roboczych.

Rozumowanie miewa swoje kaprysy i nie zawsze prowadzi do wyników absolutnie słusznych. Nie mam żalu do Galileusza, że jego system nie okazał się precyzyjny. Chciał jak najlepiej. Z bezinteresowności w stosunku do świata rodzą się prawdy nie zawsze zupełne, ale nacechowane pięknem ich celu: poznania. To sprawia, że przechowuje je historia. Każdy czas ma swych Galileuszów. Jeśli się mylą, spytajmy — dlaczego się mylą? Biada im skoro mylą się, bo nie chcą widzieć prawdy.

Mali prorocy nie zawsze są bezinteresowni. W polityce, gdzie toczy się walka sprzecznych potrzeb i dążeń, często lubią używać słów z Pisma. Czynią to, aby upewnić siebie i innych, że walczą o prawdę. Każą wierzyć innym i sobie, że oni, Galileusze, bronią sprawiedliwości poznania. Wołają o tym zbyt głośno. Tak głośno woła się tylko w obronie swych potrzeb; obrońca prawdy był cichy. Ale oni nie chcą się przyznać, że walczą o zachowanie siebie lub swej warstwy, swych praw czy swych dóbr. Kiedy im mówi się: uprawiacie politykę, — przeczą: bronimy prawdy.

Bo wstydzą się słów, które mogą innym wydać się mniej święte, niż oni wydają się sobie. Polityka jest słowem brutalnym, „sumienie — podniosłym. Wybrali podniosłe. Wybrali dobrze, bo wzniosłość jest często narzędziem skutecznym właśnie w polityce. Okazują się więc wytrawni w dziedzinie, od której pragną się odżegnać. I odżegnują się jakimś górnym gestem, który zadawala tłachowców i utwierdza naiwnych.

Kiedy obrońcy prawdy podsuwają im pod oczy swe racje, oni nie chcą zrozumieć, że ziemia obraca się wokoło słońca. Potrzebne są im bowiem określone ruchy i krążenia niebieskie, które zachowują nietylkalność ich ziemi. Ich ziemia — to system sądów konieczny dla utrzymania ich dóbr. Dóbr nie tylko materialnych; mali prorocy nie zawsze walczą słowem o zachowanie prawnej własności swej klasy. Często bronią struktur duchowych, wytworzonych przez własność wygasłą. I to tym bardziej utwierdza wiernych w przekonaniu o ich bezinteresowności. Są bowiem bezinteresowni w aspekcie świadomości. Ale niemniej są funkcją interesów klasy.

Kiedy więc wskazuje im się prawdy namacalne, oni nazywają je kłamstwem. Przeczą, wątpią, podważają ich nieodwołalność. Obronę tych prawd okrzykują słowem, którym każą gardzić: polityka! Ale nie gardzą obroną twierdzeń przeciwnych. Nie gardzą żadną dialektyką, która utrwala sądy dla nich doraźnie użyteczne. Dla nich — dla warstwy, której dzieje przeniknęły ich świadomość, której rachuby weszły w ich instynkty. Są czujną funkcją obrony uprawnień, które w wielu wypadkach nie wzbogaciły już ich materialnego dziedzictwa, ale stały się wektorem ich sądów moralnych. Dlatego, być może, wierzą niekiedy w kłamstwa, których bronią. Bo jeśli nie chcą dostrzec nowych, nieprzychylnych im prawd, nie zawsze dzieje się to za sprawą obojętności sumienia; kłamstwa, których bronią, zastali gotowe; ich system przekazała im przeszłość. Czas konserwuje w obrębie klasy kłamstwa jej przydatne. Tylko prawdy Galileuszów, wielkie prawdy odkrywców, nie mogą być długo udziałem jednej warstwy; — ulega im ogół. Czas zmusza najbardziej niechętnych do oddania im hołdu.

Ale te wielkie prawdy, zanim zdołają narzucić wszystkim potęgę swej jasności, przechodzą okres burz. Politycznych burz. Polityka bowiem była i jest niczym innym, jak areną, na której mali prorocy upadających klas wyciągają ręce, aby obalić i zdeptać zagrażające im prawdy. Jest to słowo zaszczytne dla jednych, hańbiące dla drugich. Zaszczytne dla obrońców prawd, hańbiące dla tych, co chcą je unicestwić. Wielkie karty wolności były hasłami polityków. Odkrycia nauki były hasłami polityków. Teorie o prawach jednostki, o procesach nurtujących dzieje zbiorowości, wykłady absolutu — przeszły swój polityczny staż. Stary odwieczny czas prób wykazał z niezbitą jasnością, że świat dzielił się zawsze na tych, co usiłowali powstrzymać logiczny obrót jego przemian, i na tych, co starali mu się dorównać w myśli i działaniu. Ludzkość i sumienie — znaczyły w ustach jednych troskę o zachowanie niezmiennego układu materii społecznej i posłusznych mu konstrukcyj duchowych; w ustach drugich słowa te miały inny sens: rozumieli przez nie ludzkie prawo do walki o ostateczne wnioski płynące z zasady równości ludzkich praw. Tych nazywano politykami. Zgadzali się na tę nazwę, bo nie przynosiła im ujmy.

* * *

Zakłamanie grozi każdemu, kto nie ma dość odwagi lub bystrości, aby jasno określić przed sobą i resztą swą sytuację w układzie sił i wyciągnąć z niej konsekwentne wnioski. Jeśli pewne słowa wymawia się z niechęcią, warto się zastanowić — skąd płynie ta niechęć. Jeśli prześladuje zły sen — warto jego wymowę przełożyć na sensy realne. Nasz wiek i wiek ubiegły dostarczyły nauk o snach i sprawach realnych. Nocne koszmary o reformie rolnej częściej zapewne prześladują tych, którym ziemię odebrano, niż innych, którzy ją dostali. Zmory o siłach gospodarczych, z których wynika określony kierunek sądów moralnych, mogą straszyć po nocach tylko tych, którzy nie chcą pewnych prawd przepuścić za swój próg. Którzy się bronią przed nimi. Słów takich jak „sumienie" używa się zazwyczaj w oznaczonym celu. Ma ono jednolitą treść tylko wśród ludzi podobnych. Na czym owo podobieństwo polega, nauczy wiedza o sprawach realnych. Jeśli się więc tych spraw dobrze nie rozważy i nie przymierzy do siebie — grozi fałsz wewnętrzny. Ów fałsz może zawieść na manowce i sprawić, że mówi się „kłamstwo" na prawdę, która jest niemiła, i „prawda" — na miłe kłamstwo.

Dlatego sądzę, że o zakłamaniu świata nie wszyscy mają prawo mówić. Przystoi to jedynie tym, którzy zwalczyli je w sobie. Jest to reguła w uczciwej grze.

Kandyd.

Smierć Pawła Hulki - Laskowskiego

Dnia 2 listopada zmarł w Cieszynie wybitny pisarz, publicysta i szermierz walki o sprawiedliwość społeczną, — Paweł Hulka-Laskowski. Nikt, komu nie jest obca historia walk i zmagań o postęp i lepszą przyszłość świata pracy w latach narastającej grozy faszyzmu i reakcji nie mógł nie zetknąć się z nazwiskiem autora książki o robotniczym Żyrardowie, w którym zbrodniczy cynizm kapitalistycznych szubrawców nawet w przedwojennej sytuacji Polski musiał wywołać publiczny skandal w słynnej aferze p. Boussaca. Obok walki o prawa robotnicze, Paweł Hulka - Laskowski był także nieugiętym bojownikiem o zasady swobody i tolerancji religijnej oraz o nawiązanie braterskich węzłów wspólnoty między społeczeństwem polskim a czeskim, z którym związany był węzłami pochodzenia. Ostatnią książkę wydaną po wojnie pt. „Księżyc nad Cieszynem Paweł Hulka - Laskowski poświęcił temu właśnie zagadnieniu.

TRZASKA, EVERT i MICHALSKI

KSIĘGARNIA WYDAWNICZA W WARSZAWIE, MARSZAŁKOWSKA 51

OSTATNIE NOWOŚCI

Deotyma	— Panienka z okienka	**Podręcznik inżynierski**	
Forester	— Bitwa o Maltę	**Piętka**	— Wstęp do nauki prawa
Jungman	— J. J. Rousseau	**Potemkowska**	— Wielki spór w V klasie
Koskowski	— Receptura	**Ostrowski**	— Libellus (podręcznik łaciny)
Koźmiński	— Sprzedaż po cenach jednolitych	**Tuszyński**	— Samochód nowoczesny
Parandowski	— Wojna Trojańska	**Wisłocki**	— Prawo osobowe
Parandowski	— Przygody Odyseusza	**Wołłński**	— Król Jan III Sobieski

NOWY TOM „PRZEGLĄDU SOCJOLOGICZNEGO" ZA 1946 r.

ukaże się w połowie grudnia b. r.

Zawiera między innymi prace: J. Chałasińskiego, M. D. Goodfellowa, Al. Hertza, L. Krzywickiego, B. Malinowskiego, J. Obrębskiego, St. Rychlińskiego, J. Szczepańskiego, Cz. Znamierowskiego oraz dział recenzji.

Cena całego tomu o objętości około 250 stron wynosi w przedpłacie do dnia 15 grudnia 1946 r. 180 zł.

Pieniądze można wpłacać na rachunek czekowy w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, Oddział w Łodzi konto nr 181, Aleja Kościuszki 47, Łódź z określeniem przeznaczenia wpłaty albo przez pocztę na adres Polski Instytut Socjologiczny, Łódź, Uniwersytecka 3.

Po 15 grudnia cena numeru będzie znacznie podwyższona.

Okopy Świętej Trójcy

Wychodzace w Toronto (Kanada) pismo „World Newsletter" donosi z Warszawy, iż pozycja PSL uległa osłabieniu w związku z sztuttgarckim przemówieniem sekretarza stanu Byrnesa i poprawa sytuacji gospodarczej w Polsce.

Pismo jest zdania, że opozycja w Polsce okopała się dla prowadzenia długiej walki, licząc na poparcie duchowieństwa. Zdaniem emigracji londyńskiej walka ta będzie trwała aż do następnej wojny.

Marzyciele, marzyciele!

kg.

Zamieszkali w Hiszpanii

Wpadł nam w ręce niedawno wycinek z reakcyjnego dziennika meksykańskiego — gdyż w „czerwonym" Meksyku istnieje zupełna swoboda prasy — „Ekscelsior" z 4 maja bieżącego roku zatytułowany sensacyjnie **„Los Polacos no quieren ser un instrumento ruso"** („Polacy nie chcą być narzędziem Rosji"). Notatka donosi, że decyzja rządu polskiego uznania republikańskiego rządu Girala i wniesienia sprawy Hiszpanii przed Radę Bezpieczeństwa ONZ **„były ostro krytykowane przez Polaków zamieszkałych w Hiszpanii"**. Przecieramy oczy ze zdumienia, któż mogą być ci Polacy, którzy w kraju Franca, w kraju gdzie jeszcze przed trzema laty Polacy chcący z okupowanej przez Niemców Francji przedostać się do Armii Polskiej w Wielkiej Brytanii byli więzieni w słynnym obozie koncentracyjnym Campo de Miranda, w kraju, którego „caudillo" pozwolił sobie w październiku 1939 na podłe i obelżywe insynuacje o narodzie polskim, ośmielają się ostro skrytykować decyzję rządu polskiego, zgodną z najistotniejszymi interesami naszego narodu i utrwalającą braterstwo z demokracją hiszpańską zainicjowane na polach Hiszpanii w latach 1936 — 1939?

Otóż jednym z tych niezadowolonych z decyzji rządu polskiego Polaków jest pan hrabia Łubieński **„aż do niedawna attaché prasowy poselstwa polskiego"** (to jest przedstawicielstwa b. rządu londyńskiego, dotąd uznawanego przez generała Franco). Pan hrabia Łubieński z arystokratycznym „dégout" mówi o stosunkach w Polsce. Po wyszczególnieniu wszystkich nieprawości, jakich się dopuszcza rząd polski, arystokratyczny miłośnik francowskiej wolności oświadcza: **„rząd polski robi wszystko, aby przeszkodzić swobodnemu wypowiadaniu się przez sterroryzowane społeczeństwo i aby przed światem dać fałszywy obraz opinii narodowej"**. Aby więc świat nie był przez tych spryciarzy z Warszawy wprowadzony w błąd, pan hrabia Łubieński zmuszony jest wyjaśnić, że **„my nie uważamy decyzji tego rządu za wyraz woli i interesów naszego narodu"**. Oczywiście, o ile pan hrabia Łubieński mówiący o sobie „my" (pluralis maiestaticus?) nie uważa tej decyzji za wyraz swych interesów i swej woli, to i cały naród nie uważa, przecież lud zawsze, za dawnych dobrych czasów musiał to uważać, co jaśnie pan hrabia kazał...

Ale któż jest drugi Polak, również protestujący? Otóż jest to **„pisarz polski"**, p. Łobodowski **„eksperto en asuntos internos de Polonia"** (specjalista od spraw wewnętrznych Polski). Tego specjalistę znamy nie od dzisiaj i wiemy, że specjalistą od problemów wewnętrznych jest dobrym... Zapowiadający się ongiś nieźle zdolny poeta zaczął się w pewnej chwili staczać po równi pochyłej coraz niżej, aż skończył w r. 1939 na roli tropiciela żydo - bolszewizmu, zausznika kacyka Józefskiego z Wołynia i jawnego agenta sanacyjnej defensywy... Rzeczywiście lepszego specjalisty nie można by znaleźć.

jr.

Po nitce do kłębka

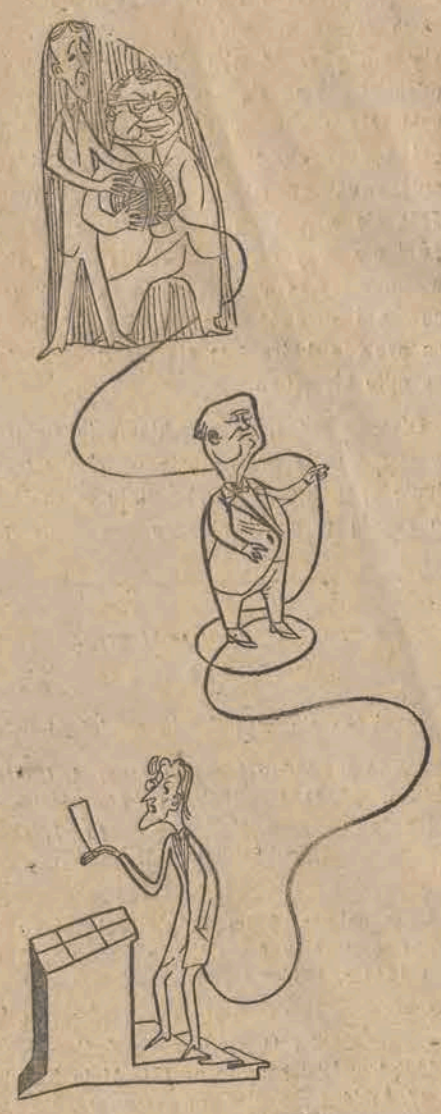

rys. M. Piotrowski

„Apolityczność"

Noty

Nihilizm

Na innym miejscu ogłaszamy artykuł znanego pisarza katolickiego Jerzego Zagórskiego. Jego obecność na łamach pisma, ideowo tak odległego od filozoficznych poglądów katolika, nie jest sprawą zdawkowej uprzejmości. Zadecydowała o tym coraz wyraźniejsza wspólność stanowisk wszystkich walczących w możliwość naprawienia świata, wspólność stanowisk w wielu sprawach ziemskich. Zagórski w artykule swym nawołuje do jednomyślnego przeciwdziałania tych wszystkich, którym obcy jest pozostały po hitleryźmie nihilizm, pogardliwa niewiara we wszelkie plany i usiłowania reform.

Ta walka z nihilizmem jest wspólna radykalnej myśli katolickiej i lewicy polskiej. Na łamach „Kuźnicy" pisało się krytycznie o tym samym zjawisku, nazwanym przez nas „pesymistycznym antyreformizmem". W naszej rzeczywistości politycznej to nihilistyczne i pesymistyczne stanowisko pod wieloma względami reprezentuje PSL. Ten obóz szermuje tylko krytyką i nieufnością. Ten obóz czując się opozycją — nie chce i nie potrafi przeciwstawić konkretnym programom polityki gospodarczej Obozu Demokracji — żadnego swego programu. Przeciwstawia natomiast zawsze nihilistyczną niewiarę w szczerość deklaracji, lawinę negacji, zastrzeżeń, nieufności. Istotnie od tej pogardy dla wszystkiego i wszystkich trzeba się odciąć. To budzi obrzydzenie.

żłk.

Anegdoty sprężone

Opowiadał mi znajomy, że pełnił obowiązki obrońcy przed sądami wojskowymi czasu ostatniej wojny. Kiedyś otrzymał poważną sprawę młodego żołnierza, oskarżonego o propagandę defetyzmu. Chłopak — typowy intelektualista, nieporządnie a wszechstronnie oczytany — miał wyraźny zamęt w głowie. Nie był to w żadnym razie świadomy szkodnik. Chociaż wygadywał rzeczy bezwzględnie szkodliwe. Obrońca ów przedstawił swój punkt widzenia prokuratorowi wojskowemu, mówiąc: „Przecież to jest wyraźnie pomylony malec"... „Ale dlaczego on jest pomylony w tym kierunku?... — odparł prokurator. — Dlaczego przeciw zwycięstwu, a nie za nim?".

Na zjeździe literatów pewna pisarka była niechętna w stosunku do całej naszej rzeczywistości, krytykowała wszystko, nie ufała niczemu, delektowała się każdym błędem; głosząc jednocześnie swoją niechęć do polityki w ogóle, tępiła politykę demokratyczną w imię dostojności i moralnej wyższości wobec brudnych waśni politycznych. Gdy ją pomawiano o wrogość w stosunku do demokracji, odpowiadała: „Nigdy w świecie. Ja tylko mówię w imię słuszności. Nie zwalczam żadnego programu. Jestem apolityczna".

Otóż dlaczego pani jest apolityczna w tym kierunku, dlaczego przeciw demokracji?

rdc.

„Tygodnik Warszawski" się zżyma

Kołłątajowa historyka o pani Firlejowej z Tęczyna, przypomniana w Nr 40 „Kuźnicy" wywołała, oczywiście, irytację w Redakcji „Tygodnika Warszawskiego". Wiemy, że „Tygodniki Warszawskie" nie lubią opowiastek i przykładów na temat eksploatacji ludzkiej naiwności przez tych, którzy jakże często „zalecają innym wodę, a sami piją wino!

Pan Jerzy Ejan (?) strzelił do mnie miałkim śrutem swoich argumentów ale chybił. Pan Ejan (?) twierdzi: 1-o że wzmiankę o kołłątajowej opowieści można znaleźć w różnych źródłach historyczno - literackich. (Chrzanowski, Brückner), 2-o że zdaniem Brücknera nie jest to fakt autentyczny, lecz parafraza „staropanieńskiej anegdoty". Pierwszemu nigdy nie przeczyłem i nie przeczę. Co do drugiego — jest rzeczą zastanawiającą, że **taką właśnie** „anegdotą" okrasił Kołłątaj pracę o „stanie oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III", i że tej „anegdocie" — dzięki wyraźnej i całkowitej lokalizacji — nadał **wszelkie cechy** autentyczności. Przyjmując słuszność supozycji Brücknera można wyciągnąć stąd tylko jeden wniosek: że zarówno we Francji, jak w saskiej Polsce nie brakło możnych dam, owładniętych manią religijną, i sprytnych mnichów, którzy z takich chorób czerpali materialne korzyści.

Tyle co do meritum argumentów „Tygodnika Warszawskiego". Wypada jednak ponad to zwrócić uwagę na styl polemiczny tego czasopisma. Pierwsza nobliwość stylu p. Ejana (?) jest natury metodologicznej, druga — ma charakter personalny. Przytaczając opinię Brücknera p. Ejan (?) swój cytat z „Dziejów Kultury Polskiej" zaczyna od: „Nie dziw, że księża świeccy i zakonni zazdrościli jezuitom i niejedną im ubliżającą anegdotę szerzyli..." przemilcza natomiast p. Ejan (?) to, czym Brückner swoje konkludujące „nie dziw" uzasadnia.

Temu chwytowi metodologicznemu odpowiadają też publicystyczne maniery p. Ejana (?). Pan Ejan (?), ukrywszy się sam pod marką dziwacznego **kryptonimu**, przypina **do mego imienia i nazwiska** łatkę lekceważenia w postaci słówka „niejaki".

Swoją filipikę zakończył p. Ejan (?) ni przypiął ni przylatał „natchnionym słowem Poetessy", która — dodajmy od siebie — była za życia przez pp. Ejanów prześladowana i wyklinana. Pragnąc wpłacić p. Ejanowi (?) pięknym za nadobne, przytoczę tu pod jego adresem bardziej trafne przysłowie ludowe, zaczynające się od słów: „Uczył Kuba Marcina"... I na tym kropka.

Bolesław Dudziński

Powieść — Rzeka

W artykule Tadeusza Brezy (Kuźnica, Nr. 44) czytamy ze zdziwieniem: „Swej ostatniej książce Stefan Otwinowski dał tytuł „Czas Nieludzki" i zakwalifikował ją jako powieść. Rozmiarami jest to utwór wyjątkowo szczupły. Liczy zaledwie 1300 stron".

Biedny Otwinowski! Napracował się, napocił, spłodził 1300 stron, a tu mu Breza wyrzuca, że mało. Redakcja „Kuźnicy" otrzymała od autora „Czasu Nieludzkiego" (Oficyna Wydawnicza, str. 130) depeszę z Pragi: Uspokoić Brezę. Piszę następną powieść. Rozmiar 13,000 stron. Pierwsze 5,000 dostarczę po powrocie".

Redakcja wysłała w odpowiedzi depeszę następującą: „Mało. Nasz korektor się nie zgadza. Żąda 130,000 stron. Co robić?".

K.b.

Podręcznik dla krytyki literackiej

Jeszcze w ub. roku — wzorując się na drukowanym ongi przez Adolfa Nowaczyńskiego w krakowskim „Liberum veto" nieśmiertelnym schemacie frazeologii dla podręcznego użytku recenzentów teatralnych pt. „Mały Prokesch" — ogłosiłem krótki „zarys praktyki dziennikarskiej".

„Zarys" został z entuzjazmem przyjęty przez wielotysięczne rzesze naszych dziennikarzy, jako niebywale ułatwiający im pełnienie szczytnego obowiązku za cenę 1 zł 50 gr — 4 zł. 50 gr od wiersza (vide: dziennikarska umowa zbiorowa).

Ostatnio coraz częściej rozlegają się — b. słuszne zresztą — narzekania na atrofię krytyki literackiej w Polsce. W związku z tym jedno z pism założyło nawet „Szkołę krytyków". Przejęty troską o rozwój krytyki i ja natychmiast stanąłem do apelu, opracowując — wzorowany na najlepszych przykładach z pism „Pobudka" (Łódź), „Dziś i jutro" (Warszawa), „Przekrój" (Kraków) i „Gazeta lubelska" (Lublin) — podręcznik dla krytyków literackich pod hasłem: „I pan(i) może być również recenzentem (tką)"...

Publikując podręcznik, wyrażam głębokie przekonanie, iż spełni on swoją rolę niezastąpionego przewodnika dla tych wszystkich, którzy piszą recenzje z książek naszych poetów i prozaików.

Podręcznik składa się z dwóch przejrzystych rozdziałów, zawierających odpowiednie stereotypy w formie pytań i odpowiedzi, co niewątpliwie uczyni go przystępnym nawet dla recenzentów z Bydgoszczy.

Rozdział pierwszy: Poezje

Jakie są te wiersze? — Znamienne dla czasów, które przeżywamy.

Co w nich znajduje swój wyraz? — Głębokie umiłowanie ziemi ojczystej, opartej o granice na Odrze i Nyssie.

Jaki duży ciężar? — Gatunkowy.

Od czego nabardziej są te wiersze odległe? — Od łatwizn zarówno formalnych jak i treściowych.

Czym jest twórczość poetycka? — Czułym sejsmografem.

Jak poeta używa słowa? — Oszczędnie, lecz celnie.

Jaka liryka? — Piękna, czysta i przepełniona głębokim uczuciem. (Albo żołnierska i bezpretensjonalna).

Co robią w sumie te wiersze? — Przykuwają uwagę.

Jaki kunszt? — Formalny. (Albo: czego w tych wierszach nie ma? — Ambitniejszych poszukiwań formalnych).

Czym operuje poeta? — Bogatym zasobem słów.

Co ma poeta? — Niewątpliwie, własne oblicze twórcze. (Albo: wszystkie dane do osiągnięcia własnego wyrazu).

Rozdział drugi: Proza

Jaki styl? — Dojrzały, pełen umiaru i spokoju.

Jakie postacie? — Niesłychanie wyraziste i sugestywne.

Jaki nurt? — Klarowny.

Co robi autor? — w mistrzowskich urywkach, pełnych szerokiego oddechu, maluje sceny walk.

Co żłobi tę powieść? — Głęboki nurt epicki.

Jakie są opowiadania? — Doskonałe, wstrząsające prostotą i pełne głębokiej prawdy.

Co cechuje sceny miłosne? — Umiar, dyskrecja i prawdziwa poezja.

Jaka analiza przeżyć psychologicznych? — Udana.

Co ujawnia autor? — Talent pisarski wysokiej klasy.

Jaki język? — Gładki, jędrny i prosty.

Z czym się czyta tę powieść? — Z niesłabnącym zainteresowaniem.

Jak wydana książka? — Estetycznie i starannie.

Czyją to zasługą? — Rzecz prosta, wydawnictwa.

Uwagi końcowe

W ten sposób, odpowiednio manewrując podanymi schematami, recenzent zawsze może stanąć na wysokości zadania przy omawianiu każdej pozycji z dziedziny literatury pięknej.

Ponadto zaleca się recenzentom — celem podniesienia swego autorytetu na wyżyny — pisanie od trzech do pięciu razy w roku artykułów pod tytułami: „Unowocześnienie teatru", „O nową treść w teatrze", „Teatr dziś i wczoraj", „Jaki winien być teatr", „Rola teatru w życiu współczesnego człowieka"...

Artykuły pod powyższymi tytułami są conajmniej od lat dwudziestu ozdobą każdego szanującego się polskiego wydawnictwa periodycznego...

Jan Huszcza

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy".
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENY OGŁOSZEŃ:
Kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł. 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000. — Drobne ogłoszenia 25 zł za 1 mm na 1 szpaltę.
Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 4. D—08995